



WYDAJENIE SOLIDARNOSCI WALZACA

POZNAN

CzasKultury 3/1987

Wydawca:

Stowarzyszenie Czasu Kultury
ISSN 0867-2148; indeks 354627

Oryginalnie wydanie

ukazało się w drugim obiegu

© Copyright by Czas Kultury

Poznań 1987

Korekta: Monika Stanek

Projekt graficzny: Irek Popek

Opracowanie edytorskie:

Stowarzyszenie Czasu Kultury

Adres redakcji:

ul. Św. Marcin 49a

61-806 Poznań

www.czaskultury.pl

Zrealizowano w ramach
programu Kultura Cyfrowa
ze środków:

**Ministerstwa
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

SPIS TREŚCI

- 4 **Rozmowa ze Stanisławem Barańczkiem**
Rafał Grupiński
- 24 **Nędza literatury**
Rafał Grupiński
- 56 **Wiersze (z fragmentem przedmowy Josifa Brodskiego)**
Irina Ratuszyńska
- 62 **Przysposobienie do wolności (część III)**
Soter
- 76 **Wiersze**
Jan Kasper
- 80 **Życie chasydów. Część III: *kavana* (intencja)**
Martin Buber
- 90 **Rozmowa z Henrykiem Grynbergiem**
- 112 ***Tenebrae ex Oriente.* Nad powieścią Conrada *W oczach Zachodu***
Marian Dźwiniel
- 131 **Lech Dymarski, czyli między Barańczkiem a Krynickim**
Jerzy Jastrzębski
- 140 **O zwyczajach**
Lucjusz Anneusz Seneka
- 159 **Korespondencja i inne**

Rozmowa ze Stanisławem Barańczakiem

Rafał Grupiński

Zacznijmy może od zamierzchłej przeszłości. Należysz do poetów tzw. pokolenia '68 i jesteś zarazem jego najwybitniejszym chyba krytykiem i komentatorem. Czy dzisiaj, z perspektywy minionych lat umiałbyś wskazać wiersz, książkę poetycką czy artykuł, w którym po raz pierwszy znalazła odbicie nowa świadomość estetyczna, której naczelną dewizą stało się połączenie buntu i etyki – jak sam to kiedyś nazwałś?

Trudno chyba mówić o czyimkolwiek pierwszeństwie, zwłaszcza że każdy z nas, zanim jeszcze zaczęto mówić o pojawieniu się nowego pokolenia literackiego – to znaczy jeszcze w latach sześćdziesiątych – poszukiwał swojej drogi w pojedynkę i trochę po omacku, czyniąc przy tym różne młodzieńczo-niepewne szusy i zakusy. Były w tym naturalne sprzeczności, wynikające z niepełnego jeszcze wykrystalizowania się postaw i programów. Ryszard Krynicki na przykład, który od początku pisał bardzo oryginalnie

nalne i nowatorskie wiersze, był w tym wczesnym okresie związany z warszawską Orientacją, grupą, z którą w głębszym, twórczym sensie nic go nie łączyło. Poeci późniejszej grupy Teraz pewnie już wtedy pisali, ale byli jeszcze zupełnie niewidoczni. Ja sam bardzo wcześnie, już na jesieni 1967, opublikowałem w prasie artykuł, który w cztery lata później ukazał się jako pierwszy rozdział książki *Nieufni i zadufani* – był to mój pierwszy większy artykuł i od razu artykuł programowy; a w tym samym okresie pisałem wiersze, które prawie niczym nie zapowiadały tego, co miało później w oczach krytyków stanowić istotę nowej poetyki. Zresztą w samym tym artykule też widać było jeszcze odbicie generalnego zamieszania, jakie wszyscy mieliśmy w głowach do momentu Marca, który postawił wszystko w ostrym świetle.

Ty sam, podobnie jak Adam Michnik w przedmowie do *Ja wiem, że to niesłuszne* (niedrukowanej w książce), napisałeś, że przełomowym wydarzeniem, które zadecydowało o zrodzeniu przekonania, iż podstawowym obowiązkiem literatury jest dawanie świadectwa prawdzie swoim czasom były marzec i sierpień 1968 roku. Stąd zresztą nazwa pokolenia, przy której sam obstawałeś, przeciwstawiając ją określeniom Nowa Fala czy Młoda Kultura. Kiedy ta świadomość własnej genezy ostatecznie się skryształizowała?

Skrystalizowała się bynajmniej nie od razu, nie natychmiast po Marcu 1968 i nawet nie natychmiast po Grudniu 1970. U progu lat siedemdziesiątych istniało coś w rodzaju

świadomości pokoleniowej, łączyła ona jednak jeszcze ludzi bardzo różnych – trochę na zasadzie „jesteśmy młodzi, w kulturze akurat odwilż, no to się jakoś szybko zjednoczmy, żeby się wyraźniej ujawnić”. Dopiero później, w latach mniej więcej 1972-74, kiedy sytuacja po krótkotrwałej pogrudniowej odwilży zaczęła się pogarszać i kiedy zaczęło nas to pogorszenie wystawiać na różne próby, zaczęły się zaznaczać podziały. Symptomatyczne są tu zwłaszcza dzieje ruchu wokół krakowskiej „Młodej Kultury” (która w naszych planach miała być pismem, ale wyszedł z tego tylko dodatek do „Studenta”). Poczakkowo ciągneli wszyscy do tej inicjatywy jak muchy do miodu. Któż wtedy nie zjeżdżał do Krakowa – mieliśmy w swoim gronie nawet Jana Kurowickiego... Kiedy tylko zaczęło być jasne, że władze patrzą na nasze plany coraz bardziej niechętnym okiem – ostrożniejsi zaczęli się szybko odłączać.

Świadomość tego, co łączyło tych mniej ostrożnych, szybko się krystalizowała, zarazem zaś stawało się coraz bardziej widoczne, że to samo łączy nas z niektórymi pisarzami starszych pokoleń, czyli że sprawa jest zarazem generacyjna i ponadgeneracyjna. Przełomowym momentem w krótkiej historii „Młodej Kultury” był, myślę, artykuł Macieja Szybista (utrzymany właśnie w duchu zawiadacko-koniunkturalnego „my, młodzi”), na który część z nas bardzo ostro zareagowała. W tym momencie było już mniej więcej jasne, kto będzie odtąd nadal przyznawał się do marcowej genezy a zarazem szukał porozumienia ze środowiskiem podobnie przełamanych przez doświadczenie Marca starszych pisarzy.

Czy na twoją decyzję wystąpienia z partii miał wpływ przebieg lutowego zjazdu ZLP w Poznaniu w 1975 roku? O ile wiem oddałeś legitymacje w kilka dni po jego zakończeniu. Wydarzyło się wówczas coś specjalnie ważnego, czy uznałeś, że po prostu zwlekałeś za długo z decyzją już dawno podjętą? Przypomnę, że prawie rok wcześniej ukończyłeś słynne *Sztuczne oddychanie*.

Do partii wstąpiłem krótko przed Marcem, a już od początku wydarzeń marcowych miałem absolutną świadomość, że jestem niewłaściwym człowiekiem na niewłaściwym miejscu. Wyglądało to tak, że w południe brałem udział w demonstracji studenckiej, a wieczorem szedłem na zebranie partyjne, gdzie gardłowałem w obronie bitych kolegów. Wynik był żaden, co najwyżej poczucie zapełnej sahiszofrenii i parę przesłuchań na ulicy Kochanowskiego. Mimo to w partii pozostałem jeszcze kilka lat. Po co? Dlaczego? Nie wiem. Chyba nie tyle z konformizmu, ile z beznadziejnego poczucia, że moje wystąpienie z partii w tych latach nie byłoby i tak przez nikogo zauważone i właściwie zrozumiane – jak w *Sztucznym oddychaniu*, które właśnie wtedy pisałem, każdy puknąłby się w czoło i tyle. Pisałem więc swoje, myślałem coraz samodzielniej, miałem coraz więcej kłopotów z cenzurą, nawiązywałem coraz serdeczniejsze przyjaźnie z ludźmi z opozycji (w 1972 poznaliśmy się z Adamem Michnikiem) i tak to jakoś dziwnie trwało. Wreszcie w lutym 1975 roku, w trakcie zjazdu ZLP, zostałem „zaproszony” na rozmowę w poznańskim KW PZPR; w czasie rozmowy usiłowano zmusić mnie do zeznań na

temat spotkania grupy pisarzy, które odbyło się poprzedniego dnia w moim mieszkaniu. W tym momencie miałem jut swojej dwuznacznej sytuacji tak bardzo dosyć, że powiedziałem tym panom, co o nich myślę i zwróciłem im legitymację. (Ciekawy szczegół – legitymację miałem w kieszeni, bo wychodząc z domu, specjalnie zadbałem o to, żeby ją zabrać; czyli podświadomie byłem już przed rozmową pewien, że to koniec mojej partyjnej przynależności?) Przyznam się zresztą, że obżyzdzenie, trochę jak w *Potędze smaku* Herberta, miało podłoże nie tylko etyczne, ale estetyczne: towarzysz F., który ze mną rozmawiał, przypominał mi nieodparcie wieprza. Wiosek praktyczny dla władz: należy dbać o estetykę wyglądu i dietę towarzyszy odpowiedzialnych za kulturę. Pamiętam też dokładnie poczucie bezgranicznego szczęścia, dosłownie euforii, jaka mnie ogarnęła po wyjściu z budynku KW. Po raz pierwszy w moim dorosłym życiu – myślałem wtedy – zachowałem się naprawdę jak wolny człowiek. Myślę, że wiele z tych rzeczy, które robiłem w latach następnych, robiłem mniej z poczucia obowiązku a bardziej z pobudek właściwie egoistycznych: po to, aby upajać się tym zupełnie narkotycznym poczuciem, jakie daje człowiekowi korzystanie, wbrew wszystkiemu, z wolności.

Jak wspominasz dziś okres swojej aktywności w KOR-ze, rewizje, cztery-osiem¹, przerywane przez SB spotkania autorskie czy wykłady? Uważasz, że podjęty wówczas przez ciebie wybór był prostą konsekwencją twojej wcześniejszej ewolucji jako poety?

¹ Zatrzymania przez milicję na 48 godzin, często stosowane wówczas wobec ludzi opozycyjnie nastawionych do PRL-u.

Krótko: pięć lat KOR-u to najszcześniejszy okres mojego życia. o rozmaitych drobnych szykanach policyjnych i innych nie warto nawet wspominać, to była cena, jaką się płaciło za to wspaniałe poczucie wolności wbrew wszystkiemu, o którym przed chwilą wspomniałem. Z punktu widzenia bardziej literackiego – tak, uważam, że była jakaś konsekwencja w przejściu od wierszy z *Jednym tchem* do działalności w KOR-ze, choć była to konsekwencja niekonieczna, to znaczy wcale nie uważam z drugiej strony, jakoby poeta musiał koniecznie stać się tzw. człowiekiem czynu, aby to nadało jego słowom prawdziwą wagę. Sprawy związku między twórczością a biografią są po prostu bardziej złożone.

Czy możesz zdradzić kilka tajemnic redagowania „Zapisu”? Z czyjej inicjatywy powstało to antymonopolistyczne pismo? Czy redakcja miała w swym składzie kogoś, kto stanowił „duszę” całego zespołu?

„Zapis” był dla mnie również jednym z kluczowych doświadczeń tych lat, jeszcze jedną formą realizowania własnej wolności, tym razem w sferze pisarskiej i edytorskiej. Nie zdradzę tu żadnych tajemnic, bo „Zapis” ich nie miał. Może najciekawsza była w tym piśmie zupełna otwartość i publiczność jego funkcjonowania (wyjątkiem były oczywiście adresy drukarzy), do tego stopnia, że zebrania odbywały się z całą swobodą w mieszkaniach Wiktora Woroszyńskiego czy Jacka Bocheńskiego, w których, jak nie bez podstaw przypuszczaliśmy, był podsłuch. Ciekawe było też to, że doszło w „Zapisie” do harmonijnej współpracy pisarzy różnych pokoleń, od Andrzejewskiego do

Zagajewskiego. Jeśli istniały różnice poglądów na dane materiały czy posunięcia redakcyjne, to przebiegały one bynajmniej nie po linii pokoleniowej.

Wróćmy bezpośrednio do spraw poezji i krytyki. Czy twoje pierwsze książki krytyczne *Nieufni i zadufani* oraz *Ironia i harmonia* zachowały dla ciebie swą aktualność w ocenach i klasyfikacjach ówczesnych wydarzeń literackich? Rozumiem, że możesz mieć zastrzeżenia do użytego tam aparatu krytycznego.

Program nieufności, jaki wysunąłem w *Nieufnych i zadufanych*, pozostaje dla mnie nadal sprawą ważną i uważam go za największą wartość tej książki. Lubię ją też nadal za jej stronę analityczną, po prostu za konkretne analizy wierszy; powiem bez fałszywej skromności, że jeśli jestem w ogóle coś wart jako krytyk, to w tym sensie, że umiem dość niezłe czytać i rozumieć wiersze, czego mnie nauczył mój mistrz i starszy przyjaciel z poznańskiej polonistyki, Edward Balcerzan, a także krytycy, których wtedy czytywałem i których zdolnościami analitycznymi się zachwycałem – Janusz Sławiński, Jerzy Kwiatkowski, Jan Błosiński... Natomiast najsłabszą stroną *Nieufnych*... jest istotnie podłoże teoretyczne tej książki, cały ten galimatias romantyzmu i kmitologii, marksizmu i baroku: widać w tym ślady faktu, że pisałem to mając 20-23 lata, kiedy czytałem masę, ale trochę chaotycznie i kiedy moje poglądy dopiero się kształtowały. Książce stawiano ponadto zarzut, że absolutyzuje ona kwestię poezji lingwistycznej jako rzekomo jedynej dopuszczalnej szkoły poetyckiej; z tym jednak

zupełnie się nie zgadzam. Poezja lingwistyczna jest tu zaprezentowana po prostu jako wyciągnięcie krańcowych wniosków z postawy nieufności. Nie znaczyło to, że nie jestem w stanie docenić i zrozumieć innych typów poezji. *Ironię i harmonię*, moją drugą książkę krytyczną, o większym rozrzucie tematycznym, wydałem między innymi po to, aby pokazać, jak te same kryteria oceny literatury mogą się stosować do bardzo różnych poetów i pisarzy.

Nie uważasz, że wyzwanie jakim była poetyka lingwistyczna odwołująca się do programowego wyzyskiwania sfery doświadczeń społecznych dla ocalenia prawdy o świecie spotkało się, poza licznymi pozareferytorycznymi atakami np. w „Poezji”, z milczeniem krytycznym w latach siedemdziesiątych? Przypominam sobie tylko jeden poważniejszy artykuł krytyczny, i to późny, Janiny Katt-Hewetson we wrześniowym numerze „Kultury” w 1980 roku. Czy wyzwanie to, z braku polemiki, nie stało się z czasem źródłem bezkrytycznego kontynuowania przez poetów twojego pokolenia wielu jej (tj. poetyki) szybko zużywających się chwytów? Mam na myśli liczne przytoczenia tzw. języka oficjalnego, języka gazety, wtrącenia w nawiasach jako sposób kompromitacji poetyckiej.

Milczenie krytyczne wokół tej akurat sprawy było tylko częścią szerszego zjawiska, mianowicie tego, że w połowie lat siedemdziesiątych niektórzy poeci naszego pokolenia znaleźli się na czarnej liście i nie można było o nich oficjalnie pisać. Oczywiście, że polemika wokół jakichś

założeń jest zawsze pożyteczna i szkoda, że zakaz cenzury, paradoksalnie, wyciszył nie tylko głosy nas chwalaące, ale – poza napaściami pozaliterackimi, które zawsze wolno było drukować – również być może niektóre polemiki merytoryczne. W twoich zarzutach wobec chwytów „poetyki lingwistycznej” odnajduję jednak echo charakterystycznego uproszczenia. To, co było w naszych wierszach najbardziej świeże na tle tradycji – np. polemiczne nawiązania do języka gazety – potoczna opinia do tego stopnia zabsolutyzowała, że nie dostrzegano w tych wierszach prawie niczego innego. A przecież gra ze słowem ma u Krynickiego czy u mnie znacznie szerszy wymiar, obejmujący nie tylko kwestie politycznej manipulacji. Cieszyło mnie zawsze, ilekroć krytycy to dostrzegali – jeśli o mnie chodzi, pisał o tych sprawach parokrotnie bardzo wnikliwie Jerzy Kwiatkowski (zwłaszcza w *Felietonach poetyckich*), czy Włodzimierz Bolecki na łamach „Pamiętnika Literackiego”. A zresztą, o kim my w gruncie rzeczy mówimy, kiedy mowa o „kontynuowaniu szybko zużywających się chwytów”? O epigonach, na których poczynania i tak nie mam wpływu? Czy o mnie samym? Jeśli o mnie samym, to mówmy nie tylko o Barańczaku z okresu *Dziennika porannego*, ale i o Barańczaku z czterestu lat następnych, który trochę jednak pracował nad sobą i starał się odnawiać – pozostając sobą, zarazem wychodząc poza siebie dawnego. Mam nadzieję, że coś z tych starań zrealizowało się już w *Tryptyku z betonu, zaleceni i śniegu*. Jestem też ciekaw, co powiedzą czytelnicy o nowym tomie, *Atlantyda*, który wkrótce ukaże się w Londynie, a w którym jest chyba sporo rzeczy mogących zasko-

czyć kogoś, komu w głowie na dźwięk mojego nazwiska stale jeszcze zapala się światełko: „Barańczak? Aha, to ten, co parodiuje język gazety”.

Nie uważasz, że teksty krytyczne pokolenia '68, także i twoje, odwołujące się do etycznych granic myślenia, mówiąc „posłanie etyczne” miały na myśli posłanie polityczne i w zasadzie, choć może nie do końca świadomie, kategorie opowiedzenia politycznego narzuciły w drugiej połowie lat siedemdziesiątych sztuce?

Nie, wcale tak nie uważam. Przede wszystkim, co to znaczy „posłanie polityczne” i „opowiedzenie się polityczne”? Gdzie jest granica, dzieląca polityczne od etycznego? Czy na przykład kwestia odmowy współuczestnictwa w kłamstwie jest problemem politycznym czy etycznym? A kwestia granic indywidualnej wolności? A kwestia dobra i zła? A może każda z tych kwestii jest problemem etycznym, który w pewnych warunkach może stać się – między innymi – problemem politycznym? Przyznam się, że nigdy nie rozumiałem tych rozróżnień. Czy jest naszą winą, że samo bycie człowiekiem przyzwoitym określane jest przez państwo totalitarne jako akt politycznej rebelii? Po co mamy dawać sobie narzucać podobne kategoryzacje? Każdy, kto ma ambicje ująć w swojej poezji całość doświadczenia współczesnego człowieka (czyli samego siebie), musi prędzej czy później natknąć się na ten niezwykły składnik owego doświadczenia, jakim jest uwikłanie w epokę, w społeczeństwo. A wtedy niech go nie odstrasza to, że ktoś uzna ten składnik doświadczenia za

„polityczny”, a tym samym rzekomo niegodny utrwalenia w słowie poetyckim.

W eseju *Życie zaczyna się po trzydziestce* podzieliłeś dzieje powojennej poezji przy pomocy dwóch opozycji (zgoda – bunt, estetyka – etyka) na cztery okresy: zgoda plus etyka (lata 1949-55), bunt plus estetyka (pokolenia „Współczesności”), zgoda plus estetyka (dominacja poetów Orientacji Hybrydy) bunt plus etyka (pokolenie ,68). Dla mnie tego typu dychotomiczny podział, który zresztą często można znaleźć w twoich artykułach, jest przykładce tymczasowości stosowanych kryteriów krytycznych, bo co dalej z zastosowaniem powyższego podziału do współczesnych wydarzeń, nowych zmian w literaturze? Czy reszta czasu należy już tylko do literatury tak rozumianej, jak rozumiało ją twoje pokolenie?

Zaczynając od ostatniego pytania: oczywiście, że nie. Ilekroć stosuję w swoich artykułach, dla celów poglądowych czy dla skrótu myślowego, jakieś schematyczne uproszczenie, zawsze zastrzegam się, że jest to schematyczne uproszczenie, i zawsze – mimo wszelkich moich zastrzeżeń i wyjaśnień – spotykają mnie te same zarzuty: że jest to schematyczne uproszczenie. Schemat, zastosowany przez mnie w artykule *Życie po trzydziestce* miał za zadanie uzmysłowić czytelnikowi pewne ogólne – w największej skali widziane – drogi rozwoju poezji powojennej, tak jak krytyk sobie je przedstawiał. Nie utrzymywałem, że wszystkie bez wyjątku zjawiska w tym schemacie się

mieszczą, i nie utrzymywałem też, że schemat będzie się dawał w nieskończoność stosować.

Czy istnieje dziś jeszcze pokolenie '68 jako wyodrębniona formacja intelektualna? Czy może jest ono już częścią wspomnienia szlachtetnej przeszłości? Czy jest jeszcze coś wspólnego, co łączy ciebie, profesora Harvardu, z innym emigrantem Zagajewskim czy pozostałymi w Polsce Krynickim i Kornhauserem?

Przede wszystkim, kwestia bycia profesorem Harvardu naprawdę nie ma w tym układzie żadnego znaczenia – tytułu tego zazdrości mi w Polsce chyba tylko Artur Sandauer (jeszcze bardziej zazdrości mi pensji płaconej w dolarach – przykro mi, ale tak się składa, że w USA jest w obiegu ta właśnie waluta a nie złotych); moi przyjaciele wiedzą, że za tytułem kryje się po prostu stanowisko pracy, nie tyle dające przywileje ile zwiększające wymagania, i że o wiele więcej powodów do dumy dają mi okazje, kiedy mogę się przedstawić nie jako profesor Harvardu ale jako polski poeta. Z moimi rozszanowanymi po świecie rówieśnikami-poetami łączą mnie, mimo geograficznego oddalenia, nie tylko więzy przyjaźni ale również sam fakt pracowania w tej samej materii, w języku polskim, z którym każdy z nas na swój sposób różne rzeczy wyrabiał. Najbardziej szczęśliwy jestem naprawdę wtedy, gdy mogę przeczytać nowy wiersz Zagajewskiego czy Krynickiego, czy innych poetów, których cenię. Wtedy, gdy się takim wierszem zachwycam czy z nim nie zgadzam, w każdym razie gdy jestem nim

poruszony, granice państwowe, które nas dzielą, nie mają żadnego znaczenia.

Jak oceniasz stan, sytuację poezji polskiej po 13 grudnia 1981 roku? Czy dostrzegasz w niej jako krytyk jakieś ciekawe nazwiska czy książki warte szczególnego zainteresowania? Czy nie przerażała cię w stanie wojennym ilość wydawanych naśladownictw techniki poetów Twojego pokolenia?

Na to pytanie odpowiadam właściwie całą książką, która zapewne za jakiś czas dotrze do kraju – zbiorem szkiców zatytułowanym *Przed i po*, który właśnie skończyłem przygotowywać do druku, a który, jak łatwo się domyślić, traktuje o poezji „przed i po” grudniu 1981. Moim zdaniem, pogrudniowa poezja krajowa stała się terenem zarówno nieoczekiwanych wzlotów, jak i nieoczekiwanych ześlizgnięć w swoistą łatwiznę. Artystycznie wygrywa postawa konkretnej obserwacji, ironii, indywidualizmu – przegrywa postawa uogólnienia, patosu, prymatu „my” nad „ja”. Po jednej stronie np. Artur Międzyrzecki, który właśnie w stanie wojennym wydał najlepszy tom w swojej długiej karierze – po drugiej stronie np. Jarosław Marek Rymkiewicz, którego *Ulicę Mandelsztama* oceniam jednoznacznie jako artystyczne potknięcie.

W drugiej części mojej książki analizuję kilkanaście tomów poetyckich napisanych w Polsce w latach 1981-86, i każda z tych książek jest znacząca, choćbym się z nią programowo nie zgadzał. Co do epigonizmu przyznam się, że szcze-

gólnego nasilenia naśladownictwa techniki akurat poetów mojego pokolenia (czy w ogóle istnieje jakaś jedna technika mojego pokolenia? ale to inna sprawa) jakoś nie zauważyłem. Znacznie bardziej niepokoją mnie postępy epigonizmu mesjanistyczno-postromantycznego, bo to i efekty bardziej kiczowate, i skutki dla myślenia bardziej ponure.

Czy łatwo stąd, z Newton, obserwować życie literackie w kraju? Czy dociera do ciebie systematycznie podziemna bibuła? Możesz ją tutaj trzymać spokojnie na półkach.

Jak sam zauważyłeś, sytuacja krytyka emigracyjnego ma swoje plusy i minusy: książki z kraju wprawdzie wolniej docierają, ale za to bibuły żadna policja z domu nie zabiera. Wręcz przeciwnie, stworzyliśmy nawet na Harvardzie ośrodek bibliograficzno-biblioteczny wydawnictw niecenzurowanych (tzw. Solidarity Bibliographic Center), który mimo kłopotów finansowych i minimalnego personelu funkcjonuje wzorowo i ma już w tej chwili impanujące zbiory. Mogę chyba powiedzieć, że dzięki różnym kanałom i dopływam jestem zorientowany w bieżącej produkcji wydawniczej podziemia – przynajmniej w dziedzinie literackiej, najbardziej mnie interesującej – dość dobrze, choć niektóre tytuły docierają nieregularnie lub z dużym opóźnieniem.

Czy twoim zdaniem, gdy spoglądasz z tak odległego dystansu, obecnej postaci kultury niezależnej w kraju brak jakieś cechy, czy zajęcia jakąś problematyką? O co starałbyś się ją przede wszystkim uzupełnić, co

uznajesz jako czytelnik wydawnictw i czasopism krajowych za typowe marnotrawstwo papieru?

Trudno tu uogólniać i jednym tchem mówić o wielu tak przecież rozmaitych wydawnictwach i pismach. Jest może jedna wspólna w nich rzecz, która mnie niepokoi: niedostatek solidnej, szczegółowej i fachowej krytyki literackiej i artystycznej. W pismach, które czytam, zawsze łatwiej o ogólnikowy esej, rozważający „sytuację kultury po Grudniu”, niż o porządnie i z pomysłem zorganizowany dział recenzji. Jeśli podzimie ma stworzyć naprawdę alternatywny obieg kultury, trzeba by chyba bardziej mieć na uwadze, że autentyczne życie literackie czy artystyczne tworzy się właśnie z konkretnych dzieł czy polemik na temat konkretnych problemów sztuki.

Jak wygląda twój dzień pracy na Harvardzie? Ilu miałeś studentów? Młodzi Amerykanie są zainteresowani literaturą polską? Wykładasz już pięć lat na katedrze literatur słowiańskich – udało ci się związać silniej ze sprawą podską, z polską kulturą jakiś studentów, namówić ich np. na przyszłą pracę tłumacza?

W trakcie roku akademickiego mój typowy dzień wypełniony jest szczerze przez przygotowywanie się do zajęć, wykład czy seminarium, indywidualne dyskusje lub czytanie tekstów ze studentami, własną pracę w bibliotece, udział w zebraniach, wysłuchiwanie cudzego odczytu... Na Harvardzie pracuje się naprawdę intensywnie i nawet lunch czy kolacja sprzężone są bardzo często z jakimś zebraniem

wydziału czy profesjonalnym spotkaniem. Na szczęście pozostają weekendy i wakacje, w czasie których można wreszcie usiąść i coś napisać. Studentów mam oczywiście niewielu w porównaniu z polonistyką w Polsce – sławistyka w ogóle jest tu małym poletkiem humanistyki, a w jej ramach króluje rusycystyka, literatura polska jest jedną z *minor Slavic literatures*, czy to nam się podoba, czy nie. Ma jednak co roku grupkę – od pięciu do dwunastu osób – na ogół bardzo dobrych i zdolnych studentów, w przeważającej części podyplomowych (*graduate students*), czyli ludzi w znaczącej mierze już ukształtowanych i na wysokim poziomie intelektualnym. Szczęję się tym, że w ciągu tych pięciu lat większość z nich naprawdę udało mi się zarazić bakcyłem zainteresowania polską literaturą, a niektórzy, i to ci najzdolniejsi, już się nią zajmują jako początkujący naukowcy i tłumacze. Jeden z takich studentów, Japończyk, wykłada już w tej chwili na uniwersytecie tokijskim i tłumaczy polską literaturę współczesną; inny w trakcie studiów ogłosił parę artykułów naukowych na tematy polonistyczne; jeszcze inna studentka tłumaczy opowiadania Gombrowicza i Białoszewskiego; z inną wreszcie przetłumaczyliśmy wybór wierszy Krynickiego i tak dalej, i tak dalej. Tak się złożyło zresztą, że początek mojej pracy na Harvardzie – 1981 rok – zbiegł się ze znacznym skokiem zainteresowania Polską w Ameryce – stąd i ja miałem od początku do czynienia ze znacznie większą liczbą i zwiększonym zainteresowaniem studentów w porównaniu z wcześniejszymi latami.

Jak z perspektywy codziennej pracy na jednym z najsłynniejszych uniwersytetów na świecie oceniasz

atmosferę i styl, poziom pracy na polonistyce poznańskiej? Jak ją wspominasz?

Polonistykę poznańską wspominam z nieodmiennym szacunkiem i zarazem rozrzewnieniem, jako wspaniały zespół wybitnych profesjonalistów, moim zdaniem jeden z najlepszych w Polsce. Kolegów z UAM bardzo nam obojgu z żoną tutaj brakuje, nie tylko jako przyjaciół, ale także jako partnerów w dyskusjach. Minusy pracy na polonistyce w Polsce są oczywiste, zwłaszcza – jak mogę sobie wyobrazić – w obecnej sytuacji. Plusem jest natomiast fakt, że polonistyka w kraju to po prostu nurt humanistyki, przyciąga więc wielu błyskotliwych ludzi. Nie da się tego powiedzieć o całej slawistyce w Stanach. Z wyjątkiem jakichś dziesięciu czy dwunastu czołowych uniwersytetów, wydziały slawistyczne są na większości uczelni takim samym egzotycznym i ciasnym podwórkiem jak, powiedzmy, asyrologia.

Twoje nazwisko widać w tutejszych księgarniach na okładkach wielu czasopism krytyczno-literackich. Wynika z tego, że pracujesz sporo a twoje teksty są cenione i nie narzekasz chyba na zamówienia. Czy to znaczy, że ciągle jeszcze utrzymuje się tu zainteresowanie problematyką polską wywołaną przed laty powstaniem Solidarności, czy może coraz częściej sięgasz do wydarzeń z amerykańskiego życia literackiego?

Rzeczywiście, spędzam sporo czasu na pisanie artykułów i recenzji nie tylko dla periodyków slawistycznych – które czytują wyłącznie specjaliści – ale i dla amerykańskich

czasopism literackich, takich jak „The New Republic”, „Partisan Review”, „The New Criterion”, „TriQuarterly” i innych. Piszę o tym, o czym mam coś do powiedzenia, to znaczy głównie o literaturze polskiej i sytuacji w Polsce, czasem o tych czy innych zjawiskach innych literatur Europy Środkowej i Wschodniej. Zainteresowanie problematyką polską w pismach codziennych wydaje mi się opadło, poważniejsze czasopisma literackie czy społeczne poświęcają jednak Polsce wciąż jeszcze sporo miejsca, a niektóre z nich, i to bardzo wysokonakładowe, takie jak „The New Yorker”, „The New York Review of Books” czy wspomniana „New Republic” określiłbym wręcz jako demonstracyjnie propolskie i pro-Solidarnościowe.

Ostatnio ukazały się na rynku amerykańskim książki poetyckie Zagajewskiego, Świrszczyńskiej, Krynickiego, kolejne już Herberta i Miłosza (czy ukaże się twoja?) Polska poezja ma tu jakieś stałe grono czytelników, jak jest przyjmowana? Czy może ginie na tym ogromnym rynku?

Właściwie polska poezja przeżywa obecnie na rynku amerykańskim swój szczególnie dobry okres – tak dobrze jeszcze nie było w historii. Największa w tym zasługa Miłosza, który swoimi wprost nieludzkimi wysiłkami popularyzatora, tłumacza, antologisty, eseisty, wykładowcy, doradcy wydawnictw, wychowawcy młodszych tłumaczy, przetaił drogę wielu naszym poetom i po prostu wpoił Amerykanom przekonanie, że poezja polska jest od lat jedną z najciekawszych w Europie. Mówię jednak

o Amerykanach i od razu łapię się na tym, że wyolbrzymiam zasięg zjawiska: chodzi przecież w gruncie rzeczy o garstkę Amerykanów, o elitę intelektualną, do której w tym kraju ogranicza się zwyczaj czytania poezji. No tak, ale lepiej przecież, że przynajmniej ta elita wie w ten sposób coś o naszym kraju i jego kulturze. Co do moich własnych wierszy, miały one już sporo przekładów w czasopiśmie (ostatnio zresztą sam je po trochu tłumaczę we współpracy z paroma znajomymi poetami amerykańskimi), stale jednak brakuje mi czasu, aby sporządzić z nich zbiór i zaproponować go któremuś z wydawnictw. Przełożyłem natomiast na angielski swoją książkę o poezji Herberta i wyjdzie ona wkrótce nakładem Harvard University Press.

Jak oceniasz aktualną aktywność kulturalną emigracji? Po swoich wieloletnich krajowych doświadczeniach z jej recepcją w Polsce, mogłeś przyrzeć się teraz życiu Polnii dość dokładnie.

To temat-rzeka i nie chcę go podejmować, bo zacznę, jak zawsze w takich wypadkach, jęczeć i biadolić. Gdy człowiek znajdzie się na Zachodzie widzi dopiero, jak wiele mogłaby zrobić emigracja w sprawie polskiej kultury i jak niewiele dotąd zrobiła. Wszystko, co wartościowe w kulturze emigracyjnej, było dziełem jednostek, które musiały przebijać się przez mur prawie powszechnej obojętności na sprawy kultury jako takiej. Źle jest z tak podstawową rzeczą, jak czytanie i kupowanie książek i czasopism, nie mówiąc o fundowaniu instytucji kulturalnych czy naukowych. Sytuację popra-

wia trochę najnowsza fala emigracji, która przynajmniej na większą skalę odczuwa potrzebę kultury – ale z drugiej strony ci najświeżsi emigranci przebijają się dopiero przez długi etap początkowych trudności materialnych, toteż trudno od nich żądać milionów, potrzebnych tutaj na zakładanie katedr uniwersyteckich czy innych stałych instytucji.

A co dalej, za pięć, za dziesięć lat? Pozostaniecie z Anią w Newton? Czy pogodziliście się już z faktem stałej emigracji?

Ilekcroć słyszę o tym, że jestem emigrantem, mam wrażenie, że mowa o kimś innym. To niełatwy temat i może kiedyś do niego powrócę, aby wyłuszczyć go obszerniej. Nie wyjeżdżałem z Kraju z zamiarem emigracji i nie potrafiłbym porzucić nadziei, że kiedyś do niego powrócę. Na razie przebywanie Tu a nie Tam jest w mojej sytuacji wynikiem splotu wielu czynników, od niezależnych ode mnie (takich jak np. fakt, że władze polskie parę lat temu odmówiły przedłużenia mojego paszportu), po mniej lub bardziej zależne (takich jak fakt, że widzę wymierne korzyści płynące – chyba nie tylko dla mnie – z mojej obecnej pracy i nie mam zamiaru z niej rezygnować). Ale co to znaczy „przebywać gdzieś”? W wypadku kogoś kto, tak jak ja, swój cel życiowy widzi w pisaniu dla polskiego czytelnika i pracy dla polskiej literatury, ważniejsze od geograficznej lokalizacji jest i tak to, że „przebywa się” w języku, na kartkach książek. W tym sensie – i tak będę się zawsze starał być raczej Tam niż Tu. Taką przynajmniej mam nadzieję.

Nędza literatury

Rafał Grupiński

W numerze „Kultury” z maja 1986 roku ukazał się ciekawy szkic Leszka Szarugi *Wielkie oczekiwanie* poświęcony kulturze niezależnej w Polsce, jej obecnym przemianom, jej uzależnieniem zewnętrznym i wewnętrznym oraz jej najbliższej przyszłości. Ze względu na wyraźne zainteresowania Szarugi jako krytyka i poety, zasadniczą część tekstu wypełniają uwagi o literaturze – miarą jej właśnie zaangażowań w życie społeczne i jej klęsk czy sukcesów artystycznych stan samopoczucia kultury niezależnej w Polsce jest też określany. Rozważania krytyka oparte są na kilku podstawowych i jasnych założeniach: 1. obecny zakres wolności tej części kultury polskiej, która jest tworzona w kraju, został w okresie powojennym wywalczony, „wymuszony na władzy”; 2. po 13 grudnia „rozbiciu uległy zarówno te struktury życia kulturalnego i naukowego, jakie ukształtowały się w czasie jawnego działania Solidarności, jak również te, które funkcjonowały w PRL przed Sierpniem”; 3. z chaosu powstałego na skutek likwidatorskich działań władz wyłoniły się stopniowo „nowe struktury społeczne” kontynuujące niezależną aktywność w oparciu o mecenat Kościoła i, przede wszystkim, w oparciu o silny ruch podziemny.

Tak wstępnie określone rozważania prowadzą dalej do całościowej, krytycznej oceny stanu kultury niezależnej, która według Szarugi zbyt silnie ograniczona jest swoim zaangażowaniem po jednej stronie politycznego sporu władza – anty-władza. Pretensje ogniskują się na literaturze, której nietolerancyjnemu, nadmiernie upolitycznionemu modelowi „szlachecko-inteligenckiemu”, stawiany jest za wzór tolerancyjny, konstruowany w ironicznym dystansie wobec natury rzeczy model czesko-słowackiej kultury niezależnej, „plebejsko-mieszcząskiej”. „Polskie piarstwo jest zniewolone także przez to, że wolność redukuje do sfery politycznej, że zwęża granice tolerancji, że zubaża pole widzenia ludzkich spraw”. To samo zniewolenie objawia się w martyrologicznym patosie, tonacji kombatantstwa, nowym mesjaniźmie – to część z użytych określeń dla charakterystyki niezależnej literatury w kraju. W poszukiwaniu nadziei zmiany stara się jednak Szaruga wyraźnie jej stan obecny umieścić w tytułowym stanie oczekiwania, trudnym okresie przejściowym. Odwołania są więc uzbrojone w dobrą argumentację: współczesna literatura polska bogata jest w wątki, wątki często wzajemnie polemiczne, których wartości nie do podważenia dobrze w sumie rokują jej dalszej ewolucji. Obok siebie stawia autor pozostające z sobą w długotrwałym niezmiennym sporze nurt klasycystyczny i nurt romantyczny, temu „dwugłowski”, jak go nazywa, przeciwstawia propozycję „reformatorskiego” modelu literatury Andrzeja Kijowskiego, pisze o nurcie kresowym i wątkach katastroficznych, eseistyce emigracyjnej i poezji krajowej. Wnioski ostateczne? Literatura okresu powojennego nie

potrafiła dotąd w pełni „zsyntetyzować naszego doświadczenia” – „nie istnieje język, który mógłby poprawnie opisać nasze pragnienia”.

W tym całościowym oskarżeniu, powtórzonym za Adamem Michnikiem, kryje się tęsknota za dziełem powstałym w uniwersalnym języku, dziełem na miarę kilkadziesiąt lat trwającego wysiłku w obronie niezależności i rodzimości ducha kultury polskiej ukształtowanej pod wpływem tradycji starożytnych i judeo-chrześcijańskich. Jego współczesne podstawy stworzyła literatura polska w okresie międzywojennej niepodległości; jego nowe warianty, po wojnie, formują zarówno pisarze krajowi jak i emigracyjni – ci drudzy, według oceny krytyka – przede wszystkim. „Jednakże wszystkie te próby są od siebie izolowane, istnieją w rozproszeniu, brak dla nich interpretacyjnego centrum w zatomizowanej kulturze”. Wypada tylko zdać się na dobrą wolę krytyka i uznać, że scale nie „rozproszonych” języków nie niosłoby ze sobą groźby nadmiernego ich ujednolicenia i nie skierowałyby ich przyszłego, syntetycznego wcielenia na drogę afirmacji elementów jednorodnych kulturowo, tchnących totalnością wizji przyszłej, odkrywanej „na nowo” wspólnoty. W dziejach kultury powojennej „punktem zwrotnym”, że jeszcze raz zacytuję określenia Szarugi, stać się miał dopiero debiut pokolenia '68, które jako pierwsze „odbudowywać zaczęło przestrzeń wspólnoty kulturowej”. To dzięki etycznemu zorientowaniu ich poezji – której zadaniem pierwszym stało się ocalenie prawdy o świecie, bunt przeciwko martwiejącym pod wpływem żargonu ideolo-

gii i propagandy formom języka – powrót do owej wspólnoty stał się znowu możliwy. Twórcy tego pokolenia nie tylko, że potrafiały „syntetyzować nasze doświadczenia”, nie tylko umiejętnie opisują rzeczywistość, ale, co więcej, czynią to „przede wszystkim w warstwie »głębokiej«, w warstwie życia duchowego”. Oczywiście, dodaje z uroczą nonszalancją krytyk, trzeba także pamiętać o przeciętnym czytelniku, dla którego ważny jest opis codziennej rzeczywistości, ten zaś dawały kiedyś debiutanckie tomiki pokolenia '68 i poezja Białoszewskiego (!), brak go natomiast prozie. Jedną z nielicznych szans na zmianę tej sytuacji daje, według Szarugi, „drapieżna” proza Janusza Andermanna, szczególnie w ostatnich kilku opowiadaniach tego autora.

Czytelnika może zacząć zastanawiać fakt, że poszczególne tezy omawianego artykułu są tu streszczane tak drobniawo. Przyczyna tego jest jednak dość prosta – ponieważ znaczna część niniejszego tekstu będzie polemiką z twierdzeniami Leszka Szarugi, wyłączenie odsyłanie czytelnika do dyskutowanych partii artykułu sprzed paru miesięcy byłoby najzwyczajniej niewłaściwe.

I. ROZPROSZENIE JĘZYKÓW

1. Miłość sąsiadów

„Wolność artysty oznacza prawo schylania się nad różą, gdy płoną łąsy. Tu granice społecznej tolerancji w Polsce są niezwykle ciasne” – pisze Leszek Szaruga, wskazując jednocześnie, że tę wolność, wolność artysty do własnych, niezależnych od politycznej postaci świata sposobów jego

widzenia, zachowały literatury czeska i słowacka. Obecny w nich dystans wobec świata podzielonego na tych, którzy mają i nie mają racji, zachowane poczucie humoru i wrażliwość na prywatność podstawowych wymiarów życia każdego człowieka, stanowi o trwałości ich artystycznych osiągnięć. Twórczość Kundery i Havla, Hrabala i Seiferta, Kohouta, Mňački, Halasa i Šimečki zwiększa liczbę zwolenników obu literatur w wielu zakątkach świata, budzi też zrozumiałe uczucie zazdrości w Polsce. Wskazanie więc dziś na obie te literatury jako na pewien wzór artystyczny a także wzór odmiennego, wartościowego widzenia problemu współczesnego upolitycznienia wymiarów życia obywatela Europy Środkowej, tak jak to czyni Szaruga, jest na pewno uprawnione i pożyteczne. Nie można jednak zgodzić się już z dalszymi wnioskami jakie krytyków wyprowadza z własnych uwag. Po pierwsze, stan zniewolenia polskiej literatury nie jest bynajmniej w żadnej części spowodowany redukowaniem własnej wolności do wymiarów wolności politycznej o czym później, po drugie nieporozumieniem jest twierdzenie, że jesteśmy oto świadkami otwarcia kultury polskiej na problematykę Europy Środkowej, czego wyrazem miałyby być obecne wyuczulenie na kulturę czeską i słowacką. Złośliwie można by napisać, że obecne zainteresowanie kulturą południowych czy wschodnich sąsiadów Polski nie jest spowodowane niczym innym jak upolitycznieniem i rozrostem form kultury niezależnej w Polsce, oraz faktem istnienia opozycji politycznej i związanej z nią kultury niezależnej w Czechosłowacji. Pokażcie mi dysydenta Bułgara a zajmę się bułgarską kulturą – moglibyśmy usłyszeć zapewne z ust

krytyka myślącego podobnie do autora *Wielkiego oczekiwania*. Utrzymując ton umiarkowania należy chociażby zaznaczyć to, że przywoływanie zainteresowania literatury polskiej problematyką dawnej, wielonarodowej Polski, jej kresami a nawet życiem Galicji z czasów Austriae Felix jako przykładu otwarcia na Europę Środkową jest subtelnym wprawdzie, ale wyraźnym myślowym nadużyciem. Pisarze emigracyjni, na których powołuje się Szaruga, tacy jak Vincenz, Stempowski, Miłosz, Odojewski, Mackiewicz, czy krajowi: Buczkowski, Kuśniewicz czy Konwicki, opisują przede wszystkim świat taki, jaki ukształtował ich młodość, w którym żyli ich bliscy, rodzina i przyjaciele, świat, który wycisnął na nich swe niezatarte piętno. Wileńszczyzna, Wołyń czy Podole to ojczyzny, w których bohaterowie ich książek, podobnie jak oni sami, odbierali także pierwsze lekcje patriotyzmu i umiłowania polskości. Wzmoczone dziś zainteresowanie twórczością tych spośród wymienionych autorów, do których książek był przez wiele lat utrudniony dostęp, świadczy przede wszystkim o próbie odnalezienia wszystkich odcieni wielowątkowej kultury dawnej Rzeczypospolitej, ojczyzny wielu narodów, odnalezienia zarodków nowych sił w inaczej rozumianej tradycji. Przeszłość polskiej kultury przeciwstawiana jest dotychczasowym, popularyzowanym bądź narzucanym przez władze postawom, które musiały mieścić się w ramach powrotu do „idei” Polski piastowskiej, z jej „pokojowymi i sprawiedliwymi, etnicznymi granicami”. Literatura pierwsza podjęła się obrony zagrożonej pamięci kulturowej i dzięki między innymi pisarzom wyżej wymienionym, zadanie to wypełniała i wypełnia dobrze, tworząc nurt najwar-

tościowszy chyba i najciekawszy artystycznie w polskiej prozie i eseistyce ostatnich kilkudziesięciu lat. Jest w tej kresowej orientacji literatury pięknej i eseistyki jedno ze źródeł sukcesów publicystyki niezależnej – proces „odzykiwania pamięci”, któremu one służyły, pozwala dziś bez wyrzutów sumienia odrzucać oskarżenia o nacjonalizm bądź sentymenty rewindykacyjne w niepodległościowych dyskusjach prowadzonych na łamach podziemnych czy emigracyjnych wydawnictw.

Stąd jednak do bliższego zainteresowania naszą częścią Europy jest jeszcze dość daleko – Polska w granicach dawnych ziem i wpływów kulturalnych to nie Europa Środkowa! Błędnie dobrane przykłady, co jest zresztą spowodowane zapewne brakiem innych dowodów, przeczą postawionej wcześniej przez krytyka tezie. I znów, przez paradoks, o wiele bardziej wyczulona na tę problematykę jest publicystyka stricte polityczna, istnieją nawet pisma całkowicie tej części świata poświęcone jak „Obóz” czy „ABC”. Inaczej też, z dala od lirycznych wizji i stereotypów historycznych, przedstawia problem współżycia z narodami niegdyś zamieszkującymi Rzeczypospolitą Obojga Narodów Kazimierz Podlaski, w ważnej książce *Białorusini, Litwini, Ukraińcy, Wrogowie czy bracia?* To raczej tej książce, nie wymienionej przez Szarugę, należy przypisać „szczególną rolę” wewnątrz rozwijanego w naszej kulturze wątku stosunków Polski z jej sąsiadami, aniżeli podawanej za przykład eseistyce Włodzimierza Paźniewskiego czy, tym bardziej, Adama Zagajewskiego, nie umniejszając wartości tekstów tych ostatnich. Paźniewski i Zagajewski

blźsi s tradycji kresowego, arkadyjskiego mitu, Podlaski za rozdrapuje rany, mitom, w imi historycznej prawdy, zdecydowanie si przeciwstawiajc. Ponadto, wracajc do samego problemu intelektualnego „wyczulenia” na kultur czesk i sowack, jak nazywa to Szaruga, mona po-wtupiewac czy jest ono obecnie wysze ni byo w drugiej poowie lat szecdziesitych, czy nawet jeszcze w poczatkach lat siedemdziesitych, w okresie fascynacji now fa w kinie czeskim, filmami Formana, Menzla czy Chytilovej, twrczoci Hrabala, Skvoreckiego, Parala, pierwszymi tumaczeniami Kundery, w tym sylnym artem, wciz chyba najlepsz powieci tego pisarza.

Jest to niezalenej krytyki choroba pierwsza: przypisywanie sobie zasug i odkry nalezcych do innych lub do niedalekiej wcale przeszoci, przypisywanie sobie zasug i odkry take wowczas, gdy zdoano uczynic zaledwie kolejny, skromny krok naprzod.

2. Czowiek to jednak zwiere polityczne

Obok niezbyt trafnie opisanych rode wzrostu zainteresowania problematyk srodkowoeuropejsk w wspczesnej kulturze niezalenej (Szaruga pomija w opisie kresowego wtuku tak wane nazwiska, jak Melchior Wankowicz czy Pawe Jasienica, bez wtupienia istotniejszych dla pi-sarzy od np. nijakiej twrczoci Kuniewicza) znajdziemy w Wielkim oczekiwaniu szkicowy opis innych, wanych dla przeszlych losw literatury polskiej, wtkw i problemw. I tym razem zastanawia dobr materiau i nazwisk. Gdy autor wspomina o nierozpoznanej jeszcze tradycji li-

teratury polskiej okresu międzywojennego ogranicza się do „szkolnej” listy autorów, największych spośród tych, którzy byli bliscy awangardzie, bez zastanowienia zresztą umiejscawiając w niej Tadeusza Micińskiego, zamordowanego na kresach w 1918 roku. Gdy pisze o literaturze współczesnej, wbrew zasadniczej tezie własnej krytyki skupia się w zasadzie na nazwiskach związanych dziś mniej lub bardziej bezpośrednio z opozycją wobec form kultury oficjalnej. Kryterium polityczne? Może, wyjątki w rodzaju Leopolda Buczkowskiego potwierdzają tylko regułę. Ten sposób myślenia należałoby pokrótce tak scharakteryzować: z drugiej strony „barykady” przyznajmy sobie najlepszych, jeżeli tylko zbyt wyraźnie po niej się nie opowiadają, ale bliżej zajmijmy się tylko swoimi. Ilość nieporozumień w takim wypadku, oczywiście, wzrasta. Gdy krytyk wychwytuje czy raczej rekonstruuje wątek katastroficzny we współczesnej literaturze polskiej, nie wiadomo dlaczego łączony z fascynacją śmiercią w poezji polskiej, czyni to tak, że nie można weń wpisać dobrych, lecz starszych powieści Konwickiego, a jedynie nowsze i słabsze jak chociażby *Rzeka, podziemna, podziemne ptaki*. Można wówczas wymienić słaby poemat Pawlaka *I śmierć, wiele śmierci*, ale nie zmieści się tu poeta, który żył problematyką tą opętany, tj. Rafał Wojaczek. Pasują tu także ostatnie książki Jarosława Marka Rymkiewicza, spośród którego zbiorów poetyckich wymieniona zostaje tylko „Mogiła Ordon” (!), nie pasują natomiast ostatnie powieści zafascynowanego światem w stanie rozkładu Buczkowskiego, mimo iż wcześniej jest on, gdzieś po przecinku, wymieniony.

Porzucając ten wymyślony wątek katastrofizmu kawałkowej przez krytyka literatury, spójrzmy na nurt wierności tradycji i podstawowym wartościom kultury zachodniej. Klasycystyczne idee będą reprezentować więc Przybylski, Rymkiewicz (w latach 60. – w tym wypadku warto cofnąć się w odległą przeszłość!), jako książka niezwykle ważna dla konstruowania nowego, poszukiwanego w tej sferze wartości języka będzie wymieniony *Barbarzyńca w ogrodzie* Herberta, ale, cóż, pamięć jest krótka, nie znajdzie się w tym wątku miejsce dla równie ważnych i kto wie czy nie piękniejszych, zakamuflowanych esejów Jacka Bocheńskiego: *Nazo poeta* i *Boski Juliusz*. Swoi i obcy? Nie chcę myśleć w ten sposób, chociaż gdy Szaruga, mówiąc o wątkach romantycznych potrafi odwołać się tylko do Marii Janion, którą również bardzo cenię – zaczynam się rozpaczliwie rozglądać, czy naprawdę już nikt inny nic ciekawszego o kulturze romantycznej poza *Czasem formy otwartej* w ciągu, cytuję, „ostatnich kilkunastu lat” nie napisał?

Przytoczone podziały przeprowadzone w sztuczny sposób, wbrew pozorom, które mogłoby sugerować użycie określeń „wątek romantyczny”, „wątek klasycystyczny”, zostały dokonane według ukrytych, współczesnych kryteriów politycznych. Bezpośrednio po ataku na nadmierne upolitycznienie życia literatury, krytyk z całym namaszczeniem dzieli jej bogate wnętrze według miary jej i jej autorów zaangażowań w sprawy polskie i Polaków. Fascynacja śmiercią może być ważna dla literatury, ale tylko wtedy gdy mowa o „śmierci Polski i Polaków”, katastrofizm wtedy istnieje w literaturze polskiej, gdy jego

autorzy zastanawiają się nad możliwym, przyszłym unicestwieniem „Polski i Polaków”. Twórczość Grynberga, rozpaczliwie przywołującego tragizm polskich Żydów, poety który oskarża człowieka o zwierzęcość i bezwzględność, nazywając go „eksperymentem, który wysunął się komuś z rąk” – nie pasuje, chociaż jest on pisarzem emigracyjnym, przedrukowywanym w podziemiu i jest chyba najkonsekwentniejszym katastrofistą, opisującym świat już po zagładzie! A gdzież znaleźć miejsce dla tak nieprzejednanych, żarliwych obrońców wolności jak Marek Hłasko, wspomniany Rafał Wojaczek czy Edward Stachura? Czy nie zadziwia łatwość z jaką można dziś w niezależnej krytyce odwoływać się do wzorów czeskich lub, pisząc o prozie „małego realizmu”, wskazywać w kółko na Marka Nowakowskiego i Janusza Andermanna jako przykłady „dobrej roboty”, tak jakby nigdy nie powstały np. „Wirówka nonsensu” czy „Nowy taniec la-ba-da” Janusza Głowackiego?

W tym sporze naprawdę nie chodzi o przelicytowywanie się w dobrze nazwisk, ani nie jest to kwestia niedyskutowanych, oczywiście, gustów. Chodzi o sposób myślenia, myślenia które do krytyki literackiej i literatury wyniosło wraz ze sobą pokolenie '68, a które prezentuje w omawianym artykule Leszek Szaruga. Temu to pokoleniu, jak wcześniej wspominałem, przypisuje on rolę punktu zwrotnego w odbudowywaniu przestrzeni kulturowej, jakby nie dostrzegając, że język, który temu zadaniu kiedyś służył, dziś uległ już „zmęczeniu”, na co styl jego własnej krytyki jest najlepszym przykładem.

Oto krytyki niezależnej choroba druga, podporządkowanie współczesnych kryteriów i ocen, anno domini '86, sposobom myślenia o literaturze i jej wartościowaniu wypracowanym już dość dawno, przez pokolenie '68, które zwyciężywszy na polu etycznym, skąd jego wpływ i autorytet, przegrało walkę o własne przetrwanie w sferze języka, nadmiernie wystawionego na ciśnienie świata.

3. Winni i niewinni

Czas zdać sobie wreszcie sprawę, także w pismach niezależnych, że do przeszłości należy już piękny czas walki wierszem o imponderabilia, czy raczej przyjęty wówczas dość bezpośredni sposób jej prowadzenia. Trwa ona w innych formach. Najgorsze, co mogłoby spotkać jakiegokolwiek artystyczne pokolenie to mumifikacja jego koryfeuszy z powodu ulegania napierającemu na plecy tłumowi wiernych wielbicieli i epigonów, domagających się dalszych osiągnięć w wypracowanej kiedyś poetyce. Można się jednakże zgodzić z poglądem, że język krytyki o wiele wolniej oczyszcza się ze starych przyzwyczajęń, podczas gdy poeta zwycięża często dla dobra wszystkich samego poetę, który wyzwalając się wówczas z doktryn młodości, unika szczęśliwie losu samoepigonizmu, który niejednokrotnie już za życia kieruje autorów do archiwów (los np. Stanisława Grochowiaka czy Jerzego Harasymowicza). Rzecz w tym, że zarówno siła ethosu godności i wytrwania jaki przypisywany jest pokoleniu '68, siła ich dawnych osiągnięć poetyckich oraz fakt, że kilku z nich jest aktywnymi krytykami powoduje, że zejście ze sceny odbywa się powoli, z bólami, a co gorsze, ze świadomym zamiarem nadania

dalszemu biegowi literatury polskiej kształtu takiego jaki jest im bliski. Jesteśmy dziś świadkami właściwie „konserwatywnego” oporu tego pokolenia okazywanego nowym zjawiskom w literaturze oraz podejmowanych przezeń prób uporządkowania jej bieżących dziejów w myśl własnych kryteriów estetycznych, z tym, że dziś, choć nie można tego traktować jako bezpośredniego zarzutu, bardziej chodzi o utrwalenie własnego miejsca na planie literatury polskiej niż o kontynuowanie dalszych wysiłków dla ocalenia obywatela N.N., którego system wartości uległ zachwianiu w świecie totalitarnym. Delikatny w gruncie rzeczy i kruchy język poetycki rzadko jest w stanie unieść ciężar rzeczywistości, przeciwko której występuje, niedługo też może, nawet przez najbardziej osobiście rozumiane i kreowane liryczne „ja”, sprostać zadaniu przemawiania w imieniu zwykłych, zdroworozsądkowych racji skrzywdzonego człowieka, tym bardziej, gdy sam próbuje pokonać retorykę kłamstwa, przyjmując w siebie jej elementy dla ich kompromitacji czy ośmieszenia.

„Sztuka wyzbyta radości tworzenia, zredukowana do powinności, sztuka, która ma »reprezentować« zamiast poszukiwać, musi w efekcie zwyrodnieć” – pisze Szaruga pod koniec swego artykułu. Twierdzenie tak oczywiste, a przecież zadziwiające w ustach autora *Wielkiego oczekiwania*. Wynika bowiem z niego, że Bogu ducha winni spadkobiercy, zapatrzeni niekiedy bezkrytycznie w swego poprzednika, winni odpowiedzieć obecnie za jego grzechy. Autorzy zaliczani do pokolenia '68, od początku swej kariery poetyckiej odznaczeni wysoką świadomo-

ścią krytyczną i autokrytyczną. Najwybitniejszy spośród nich, Stanisław Barańczak, ostrzegał przed nadużywaniem „cudzego słowa” już w okresie pierwszych podsumowań osiągnięć własnego pokolenia, pisząc w słowie wstępnym do *Wierszy* Jacka Bierezina w lipcu 1974 roku: „Słabością [...] jest przede wszystkim fakt, że atakując skostniały język »oficjalny«, poezja ta nie zawsze potrafi przeciwstawić mu swój własny język”. Barańczak zakładał jednak, że ta słabość wstępnej, kontestacyjnej formy aktywności pokolenia zostanie wkrótce przewyciężona, że już się to dzieje, twierdząc dalej, że poeci krytyczni wobec rzeczywistości są na ogół krytyczni także wobec własnych osiągnięć. I tu chyba zawiodły krytyka zdolności nie tyle przewidywania, ile oceny stopnia uwikłania poezji własnego pokolenia w grę z rzeczywistością, z jej politycznym obliczem, kosztów jakie trzeba za taką formę zaangażowania płacić, jakie przyszło zapłacić wszystkim właściwie jego reprezentantom. W „pojedyнку z Gazetą” zwyciężyła wprawdzie poezja, ale na placu boju pozostała już tylko Gazeta. Rolę poezji dość dawno już przejęła prasa niezależna. Słabości wyzyskiwania wielogłosowości języka i metody lingwistycznej w sporze z językiem ”oficjalnym” wynikały z samej podstawy działania przy pomocy użycia broni przeciwnika. Ubóstwo języka ”oficjalnego” nie zostało dobrze ocenione; obnażano przede wszystkim jego kłamliwą naturę, cytując, drwiąc i przetwarzając, gdy tymczasem pomieszanemu uległy dwie różne rzeczy. Kłamstwu wystarczy przeciwstawić prawdę (choć brzmi to tak nieprzekonywująco) i nie trzeba czynić tego wyłącznie na poziomie sporu z jego aktualnym, zmiennym w koń-

cu językiem. Poeci pokolenia '68 weszli w ów spór z językiem jako materia, siłą rzeczy im najbardziej bliską, w debiutanckich książkach od razu osiągając maestrię dzięki zastosowaniu kategorii ironii. Następne książki okazały już sporą bezradność ich autorów; poszukiwania, które mogły się narodzić, zostały powstrzymane przez samych poetów, którzy, być może, ulegli presji zmieniającej się sytuacji społecznej a także dość powszechnym wówczas nadziejom, że twórczość ich z tym większą determinacją zmianom tym będzie towarzyszyć, a być może własnemu przekonaniu o konieczności dalszego pełnienia tak rozumianej misji. Gdy Kornhauser uczynił „krok w bok”, został zaatakowany przez Barańczaka recenzją pod wymownym tytułem *Sztuczny spokój. Zjadacze kartofli* – to nie była książka dobra, ale Barańczak zarzucał Kornhauserowi przede wszystkim rezygnację z opcji walki, rezygnację z etycznego niepokoju, „wyrzeczenie się pewnych tematów i pewnych problemów”. Tymczasem, sam Barańczak, trwając w konsekwencji i wierności wobec moralistycznego stosunku do świata napisał w końcu tekst *Przywracanie porządku*, skupiający wszystkie słabości dotychczasowej poetyki, bardzo krytycznie przyjęty w kraju nawet przez stałych, wiernych czytelników autora.

Z jednej strony mamy więc do czynienia z podziwu godną samoświadomością uczestników pokolenia '68, któremu myśl krytyczna towarzyszyła od samego prawie początku, z drugiej, z wyraźnymi objawami samozadowolenia i swoistym, ukrytym dążeniem do monopolu na rację, ułatwionym przez, niewątpliwie, powszechne uznawa-

nie ich licznych przecież zasług. Poezja pokolenia '68 była poezją zredukowaną do powinności, brakowało jej od lat oddechu i swobody. Najbardziej zastanawia dziś ewolucja poezji Ryszarda Krynickiego, który po 13 grudnia rozpaczliwie odzierał swe teksty z obecnej w nich dotąd metafizyczności, jakby nagle chciał, po czasie, zawrócić bieg poezji. Ten najbardziej moralistyczny ze swej grupy poeta zmienia się w sposób najmniej oczekiwany, czytelnicy zaś cierpliwie oczekują na końcowe tego przeobrażenia ustabilizowanie. Barańczak zaś i Zagajewski, że poprzestaną przy najważniejszych nazwiskach, odrywają się powoli od dawnych technik dawnych zaangażowań, tak jak oddalają się powoli od realiów życia w Polsce, pozostając od kilku lat na emigracji. Nowe wiersze Barańczaka, opublikowane w 14 numerze „Zeszytów Literackich”, podobnie jak kilka wcześniejszych, przejmują swoją autentycznością, wyraźnie widoczną walką autora o życie swojej poezji w emigracyjnym osamotnieniu – wspomnienia, które w nich dochodzą do głosu toczy nostalgia; nowe wiersze Zagajewskiego, często wirtuozerskie, nawiązujące do wcześniejszych dokonań Krynickiego, rażą wymysleniem i nadmierną skłonnością do erudycji, ale o tym pisałem już gdzie indziej.

Przedstawiciele pokolenia '68 nie chcą zejść ze sceny. Nie dziwny się temu, przetrwali zeń poeci najlepsi. Z sympatią można więc przyglądać się wysiłkom Barańczaka, Zagajewskiego czy Krynickiego, ale nie można zgodzić się na kształtowanie obecnych ocen życia literatury polskiej, jej przeszłości i nadziei z nią związanych tylko na modłę

lat siedemdziesiątych, według kryteriów przesłania, powinności i zaangażowań w życie narodu, jak czynią to liczni krytycy pism niezależnych w kraju, wciąż te same nazwiska stawiając za wzór. Leszek Szaruga, poeta o własnej drodze lecz o wspólnym z Barańczakiem czy Bierezi-
nem stosunku do przeznaczeń poezji, dokonuje w *Wielkim oczekiwaniu* wyczynu iście cyrkowego. Oskarża literaturę o nadmierne „upolitycznienie”, każe jej patrzeć na lepsze wzorce aby, następnie, wszystkie zasługi ocalenia i odbudowania wewnętrznej spójności kulturowej przypisać pokoleniu '68 i na końcu stwierdzić spokojnie, że „już dawno nasza sztuka nie przeżywała tak silnego i głębokiego kryzysu”. Oto się nazywa odwrócić kota ogonem! Rzecz cała w tym, że winę za ów „kryzys”, wbrew przekonaniom krytyka, ponosi w dużym stopniu właśnie pokolenie '68!

Wydawnictwa stanu wojennego zostały zalane tekstami postlingwistycznymi, naśladowano chytry i język, odwoływano się do techniki „cudzych słów” i wznowiono pojedynki z Gazetą rozpisywano się bez końca na temat powinności etycznych literatury. Barańczak odpowiedział na ówczesne wydarzenia nie tylko *Przywróceniem porządku* ale także antologią poezji „świadczenia i sprzeciwu” obejmującą całe 40 lat powojennej poezji polskiej, gdzie kluczem dla dobrania utworów stał się oczywisty punkt widzenia zaangażowań poezji w sprawy „niepoetyckie”, antologią ciekawą, ale wzmacniającą oddziaływanie sposobów myślenia o literaturze reprezentowanych przez pokolenie '68. Czy można mistrzów atakować za twórczość epigonów? Można, lecz tylko wówczas, gdy oni sami lub

ich uczniowie współdecydują w obiegu niezależnym o drukowaniu tych a nie innych utworów, można, gdy oni sami nie potrafią fali naśladownictw powiedzieć – nie! Co więcej, ci spośród młodszych poetów, którzy bliscy są pokoleniu '68, są nie tylko preferowani w obiegu nienależnym, ale co wybitniejsi spośród nich, także dokooptowywani do tego ruchu, mimo iż doń nie przynależą. Leszek Szaruga wprost obok Krynickiego stawia wśród poetów „syntetyzujących nasze doświadczenie” Jana Polkowskiego, a „Zeszyty Literackie” stały się w zasadzie pismem pokoleniowym, o wyraźnych preferencjach i zamkniętym kręgu publikowanych autorów krajowych i emigracyjnych.

Kryzys literatury współczesnej, jeżeli już przystaniemy na to idiotyczne określenie, które jest właściwie używane bez przerwy od czasu jego przeniesienia z ekonomii na grunt sztuki, zrodził się w wyniku próżni jaka powstała na skutek wysokich wymagań etycznych i szczególnych zadań jakie postawiła przed nią twórczość literacka i krytyczna przedstawicieli pokolenia '68, (co jest ich niewątpliwą zasługą), przy jednoczesnym ograniczeniu i słabości ich artystycznych osiągnięć. Żądanie od niej ciągle tego samego mimo pozornych zastrzeżeń, tak jak czyni to Szaruga, niczego nie ułatwia, a dodatkowo wnosi zamieszanie do toczących się na ten temat dyskusji. Oskarżenie polskiej literatury współczesnej o redukowanie swych zaangażowań do wymiaru politycznego, a następnie wskazywanie na przykład pokolenia '68, które miałyby jako jedyne posiadać umiejętność opisywania rzeczywistości „w jej warstwie głębokiej”, to najzwyczajniejsze nieporozumienie.

Problem polega na tym, jak ocalić szlachetne dążenia krytykowanego przeze mnie pokolenia, jego najwartościowsze osiągnięcia i jak, zarazem, uwolnić się od jego przemożnego wpływu, kierującego każdego prawie młodego, poszukującego wzorów poetę w stronę widocznej dziś o wiele wyraźniej barykady.

I jeszcze jedno. Wpływ pokolenia '68 nie jest wpływem zgubnym, nie przesadzajmy, i zawsze może pozostać wzorem w sensie postawy osobistej. Musi jednak zostać złamany. Jeżeli tego młodzi literaci, poeci nie potrafią, będzie to tylko i wyłącznie ich wina, nie wina ich poprzedników. I wtedy tekst ten straci swój sens.

II. NĘDZA LITERATURY

*„W płytkim morzu polskiej inteligencji
każdy głębszy okręt osiada na mieliźnie...”*

Tadeusz Miciński

Obecność lub brak zaangażowania politycznego w literaturze zdaje się nie mieć, tak naprawdę, istotniejszego znaczenia dla jej rozwoju, poziomu czy wewnętrznego samopoczucia. Zarzuty Leszka Szarugi powtarzane są w kraju w wielu dyskusjach o literaturze współczesnej. To co jednak dobre jest jako pewien schemat upraszczający w dyskusji bezpośredniej, nie służy dobrze analizie krytycznej robionej na użytek szerszego grona potencjalnych czytelników. W tym jednym, czego wyrzeka się nagle Szaruga, pokolenia '68 miało przecież rację: obrona wła-

snej wolności i wolności innych, obrona własnych przekonań i prawa do głoszenia ich przez innych były zawsze składnikiem literatury i współtworzyły jej rangę w życiu wielu kulturowych wspólnot. Lepiej znoszą ją, oczywiście, proza i dramat, lecz też one gorzej się czują obecnie w Polsce niż poezja. *Lucjan Leuven, Biesy* czy *Czarodziejska góra* to, choć w różnym stopniu, powieści polityczne, taki charakter nosi twórczość nie tylko wielkich romantyków polskich (czy wyobrazić możemy sobie współczesny odpowiednik rozmowy cara z Konstantym z *Kordiana*?), ale także Żeromskiego, Struga, Kadena-Bandrowskiego, Andrzejewskiego, Mackiewicza. Nadmierne zaangażowanie po jednej stronie sporu przynosi szkody literaturze, mówi Leszek Szaruga. Czy aby tak jest naprawdę? Może zaszkodzić, no cóż, każdemu mało utalentowanemu artyście, podobnie jak każdy inny temat, może także obniżyć loty tego, kto porzuca wypracowany przez siebie warsztat i sięga w nieznanne, kierując się emocjami, tak jak stało się w wypadku ostatnich powieści Tedeusza Konwickiego. Może jednakże przynieść efekty zaskakująco ciekawe, tak jak w wypadku najlepszej książki politycznej ostatnich lat, a mianowicie *Rozmów polskich latem 1983* Jarosława Marka Rymkiewicza. Winny nie jest temat ani problem, „winna” jest, jeżeli można to tak przerośnięcie wyrazić, raczej nędza polskiej literatury współczesnej jako całości. A także nędza jej krytyki.

Tekst Szarugi wskazuje mniej lub bardziej bezpośrednio na wiele schorzeń i poplątań w tej sprawie. Próba uporządkowania wątków dominujących obecnie w literaturze polskiej

jest wyrazem bezsilności krytyka zarówno wobec jej teraźniejszości jak i najbliższej przeszłości. Wątki, nurty, tematy, zaangażowania – wszystko to mogłoby złożyć się na sprawny opis jakiegokolwiek literatury pięknej poza literaturą polską! Tę rzecz trzeba wreszcie sobie uświadomić i zacząć myśleć o wszystkim inaczej. Aby określić najprościej sens tego, co kryje się za tym niewątpliwie prowokacyjnym, wyjściowym stwierdzeniem wystarczy powiedzieć, że literatura polska nie ma powieści współczesnej. Nic nowego, może ktoś zacząć zżymać się na te słowa. To prawda, ale czy chodzi o to, że nie ma powieści, która by oddawała sens problemów życia codziennego w Polsce przed i posierpniowej, która by ilustrowała nasze spory i niepokoje, która by dokumentowała nasze doświadczenia? Otóż nie. Chodzi o to, że takiej powieści nie ma od lat prawie czterdziestu, gdyż nie ma powieściopisarza, który zdołałby osiągnąć coś ponad stworzenie jednej w miarę interesującej książki. Żyjemy w świecie „autorów jednej książki” i nic na to nie poradzimy, że nie ma wśród nich kogoś na miarę Prousta. Andrzej Kijowski pisał kiedyś, przed laty, w felietonie *Adwent* o stanie literatury polskiej: „czekam na definicje i samookreślenia, czekam, aż skończy się gra półsłówki i min, aż ustaną westchnienia i stękania gór rodzących myszy”. Niestety, nic się nie zmieniło, tyle tylko, że te westchnienia i stękanie stały się głośniejsze a gryzonie, postrach Popiela i papieru, rodzą się dziś także w znacznym procencie z nadmiernego zadęcia patriotycznego.

Literatura polska nie ma powieści współczesnej, ale to nie znaczy, że nie ma polskiej literatury współczesnej.

Nie trzeba jednak dla wykazania tego twierdzenia szukać optymistycznych symptomów w różnorodności poruszanej w niej problematyki i stosunku do tradycji, gdyż wówczas okazuje się, że większość przydatnych przykładów pochodzi spoza literatury pięknej, czy też chwytać się kurczowo nowelistyki Andermanna, który drukuje, wbrew twierdzeniom Szarugi, coraz słabsze opowiadania, bądź powoływać się na niezły dowcip, lecz tylko dowcip Mrożka „złożony” w *Donosach* – jako na literaturę! Jej siłą bowiem, a zarazem podstawową słabością jest to, że powstaje ona i spełnia się najczęściej poza klasycznymi formami gatunkowymi charakterystycznymi dla literatury pięknej. Najwięksi polscy pisarze współcześni według staromodnych kryteriów nie zostaliby za takich, poza Gombrowiczem, uznani. Przed wszystkim i nad wszystkim górują eseiści i publicyści i ich twórczość, w której wyróżnić można trzy główne nurty: eseistykę historyczną, eseistykę współczesną i eseistykę osobistą lub autokreacyjną wraz z działem wspomnień. Podział to nieco uproszczony, gdyż do eseistyki współczesnej trzeba zaliczyć także i pewne gatunki pokrewne, jak felieton, recenzję, studium krytyczne czy gawędę, do eseistyki osobistej wszelkiego rodzaju wspomnienia opracowane do druku przez samych autorów a także, najważniejsze dlań, dzienniki intelektualne, jak nazywa je Maria Danielewicz-Zielińska, do eseistyki historycznej także zbiory artykułów napisanych przez historyków-profesjonalistów z wyraźnym zamiarem popularyzacji własnych, nierzadko subiektywnych poglądów na przeszłość, której poświęcają swoją codzienną, naukową pracę. Ponadto trzeba pamiętać o tym, że

każde podobnie bezlitosne szufladkowanie napotka trwały opór formy z natury otwartej, w której obok siebie potrafią znaleźć się i wszystkie trzy wspomniane powyżej rodzaje eseistyki.

Wśród dzieł eseistyki historycznej znajdziemy między innymi świetne prace Pawła Jasienicy, prowokacyjną publicystyką Stanisława Cata-Mackiewicza, cykl *Koniec świata szwoleżerów* Mariana Brandysa, *Margrabiego Wielopolskiego* Ksawerego Pruszyńskiego, *Listopadowy wieczór* Andrzeja Kijowskiego, prace tak różne a skupione na dziejach kultury Polski porobiorowej, jak Jerzego Łojka i Stefana Kieniewicza, Andrzeja Walickiego i Marii Janion, Tomasza Łubieńskiego i Jerzego A. Borejszy, Aliny Kowalczykowej, Jarosława Marka Rymkiewicza, Ryszarda Przybylskiego, Stefana Bratkowskiego, Bohdana Cywińskiego, Marcina Króla, Wojciecha Giełżyńskiego, Wojciecha Karpińskiego a także prace Zygmunta Kubiaka, Ignacego Wieniewicza, Jana Kotta, Zdzisława Łapińskiego i wielu innych. Do eseistyki współczesnej, ze względu chociażby na to, że niektórzy wymienieni autorzy urodzili się jeszcze w poprzednim wieku, zaliczyć należy te teksty, które zamykają się w kręgu problematyki kultury i historii XX wieku. Znajdzie się tu miejsce dla prac Jerzego Stempowskiego, Stanisława Vincenza, Czesława Miłosza, Melchiora Wańkowicza, Bolesława Micińskiego, Józefa Czapskiego, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Stefana Kisielewskiego, Konstantego A. Jeleńskiego, Józefa Wittlina, Aleksandra Janty-Pończyńskiego, Wojciecha Karpińskiego, Adama Michnika, Leszka Kołakowskiego,

Jana Błońskiego, Andrzeja Kijowskiego, Antoniego Kępińskiego, Wojciecha Stróżewskiego, Wiktora Woroszyłskiego, Witolda Wirpszy, Romana Zimanda, Konstantego Puzyny, Artura Sandauera, Ludwika Flaszena, Kazimierza Wyki, Egon Naganowskiego, Michała Sprusińskiego, Andrzeja Micewskiego i znów wielu innych, niewymienionych z braku miejsca.

I wreszcie dział o najpłynniejszych granicach, eseistyka, której ośrodkiem zainteresowania jest sam bohater, poddający swoje „ja” wielostronnemu, krytycznemu oglądowi, a zarazem obwieszczający wszem i wobec swoje myśli, oceny, reakcje wywołane zmianami zachodzącymi w świecie, w którym przyszło mu żyć, oraz zaliczony tu dział przygotowywanych z myślą o czytelniku własnych przeżyć i wspomnień uznanych za godne publikacji z powodu uczestnictwa w historycznie ważnych wydarzeniach. *Dzienniki Gombrowicza*, *Mój świat Wata*, *Dzienniki Lechonia* i Marii Dąbrowskiej, *Dziennik czasu wojny* Nałkowskiej, *Dziennik pisany nocą* Herlinga-Grudzińskiego, *Rozmowy z Miłoszem* Czarneckiej i Fiuta, *Szkice piórkiem* Andrzeja Bobkowskiego, *Dziennik 1954* Tyrmanda, autorskie wspomnienia i bieżące zapiski Tadeusza Konwickiego, Kazimierza Brandysa, Tadeusza Drewnowskiego, Romana Bratnego, Jarosława Iwaszkiewicza, wędrówki w przeszłość prywatną i rodzinną Kajetana Morawskiego, Marii Czapskiej, ks. Waleriana Meysztowicza... A ileż trzeba by zaliczyć do tego działu autobiograficznych powieści począwszy od *Doliny* Issy Miłosza, ileż jest książek bliskich technice eseju lub

intelektualnego reportażu, które należałoby umieścić gdzieś pomiędzy działem drugim i trzecim, wystarczy, jak sądzę, wspomnieć *Spizową bramę* Brezy czy *Cesarza Kapuścińskiego*. Trzeba jednak przerwać wyliczanie, nie o nie przecież tutaj chodzi¹.

Zamiar uchwycenia przez Szarugę głównych problemów polskiej literatury, jej wysiłku scalenia wewnętrznego, odnalezienia siły w bogatych tradycjach dawnej kultury czyli ocalenia pamięci kulturowej narodu nie może, mimo krytycznych uwag, ulec zdeprecjonowaniu. Intuicja krytyka jest dobrą, rzecz sama niezwykle ważną. Mechaniczny, gatunkowy podział części zjawiska wewnątrzliterackiego, za jaki należy uznać różnorodność i obfitość eseistyki oraz działu dziennikowo-wspomnieniowego, nie może być potraktowany jako próba stworzenia alternatyw dla wstępnej, nieudanej systematyzacji jaka została przeprowadzona w *Wielkim oczekiwaniu*. Służyć ma on pośrednio do wskazania trzeciej i najpoważniejszej choroby polskiej krytyki, którą oddziedziczyła w pełni krytyka niezależna, a mianowicie – umiejętności opisywania z uporem świata nieistniejącego, sumiennego rozmijania się z najważniejszymi dla literatury polskiej zjawiskami, czyli ślepotę. Ślepotą, to efekt marszu przez literaturę kolejnych adeptów na jej krytyków ze wzrokiem wbitym w plecy poprzedników. Bezpośrednio zaś ma ów podział wskazać na stan samej literatury i jej nienaturalne, wykoślawione oblicze.

¹ Jest przecież także dział licznych wspomnień wojennych i syberyjskich z najsłynniejszym chyba *Innym światem* Herlinga-Grudzińskiego, o których nie można zapomnieć.

Niewielu z największych nazwisk powojennych prozaików polskich brakuje na tej naprędce skleconej, wrywkowej liście, a gdyby ją skompletować, pewnie by i żadnego nie zabrakło. Wspaniałe? Nie, raczej przerażające. Mówiąc na codzień: literatura polska, przestajemy już właściwie myśleć o powieściopisarzach, nowelistach czy obumierającym dramacie, mamy na myśli poezję i wielkie, wspaniałe zapewne teksty, które z literaturą sensu stricto niewiele mają wspólnego. Po wojnie literatura polska przeżyła jakoś okres „niewoli babilońskiej” ponieważ ocalał także ethos romantyczny. Z tego prostego powodu, w okresie odwilży, czas zmian w sztukach pięknych został zdominowany przez poezję, to ona zaczęła nadawać ton całości współczesnego życia kulturalnego w Polsce i to jej przede wszystkim kultura polska zawdzięcza swoją dzisiejszą rangę w świecie. „Ja” liryczne było chyba jednak „ja” mało widocznym i zbyt mało pojemnym, nie mieściło ambicji samozadowolonego pisarza polskiego. Literaturę zaczął bowiem zżerać powoli rak wybujałego e g o t y z m u . Powieści i opowiadania z narracją prowadzoną w pierwszej osobie, powieści z bohaterem będącym porte parole autora lub reprezentującym jego pokolenie, z bohaterem zajęтым wyłącznie sobą, trawiącym niepokoje współczesności wyłącznie w swoim dychawicznym wnętrzu, z bohaterem przemądrzałym a zarazem nijakim – oto codzienność polskiej literatury. Działo się to nie bez wpływu atmosfery panującej w literaturze emigracyjnej, która niebogata w talenty artystyczne, rozkwitła przecież talentami narracyjnymi. Jednym z jej zadań podstawowych stało się dążenie do utrwalenia przeszłości narodowej w jej pochłoniętych przez historię,

przedwrześniowych kształtach; podobnie, konieczność zaświadczenia o martyrologii Polaków w Rosji, czy chociażby przyjęcie na siebie odpowiedzialności za ocalenie tożsamości kulturowej i narodowej Polaków w sytuacji ograniczenia swobody wypowiedzi i presji ideologicznej istniejących w kraju, nakłaniała emigrację do opowiedzenia się po stronie tych form, które pozwalały na szybkie reagowania na wszelkie ruchy przeciwnika nie tylko zresztą w kraju, lecz także na zachodniej lewicy. Wielkość intelektualna wielu z emigracyjnych autorów i, przynajmniej, piękna polszczyzna, urzekająca w kraju, nie mogły nie oddziaływać; stawały się wzorem. Tymczasem sama emigracja poniosła z powodu tego tendencyjnego ukształtowania swego kulturowego oblicza straty chyba już nie do powetowania. Wyobraźmy sobie na przykład, że Gustaw Herling-Grudziński kontynuuje pracę w stylu swoich, stendhalowskich z ducha, arcydzieł zawartych w *Skrzydłach ołtarza* nie marnując całości swego czasu i sił na *Dziennik pisany nocą* (w którym, powoli, wszyscy wielcy pisarze przeszłości i współczesności zostaną skrytykowani, opisana każda gazetowa sensacja politycznego świata i przeczytowany cały dawny Herling dla poparcia też Herlinga współczesnego...). Ale przyczyny ostatniej wymienić jako pierwszej nie wypada, należy wrócić na krajowe podwórko.

Pierwszą i podstawową przyczyną egotyzmu współczesnej literatury polskiej jest jej bezradność psychologiczna, a także intelektualna w świecie nadmiernej egalitaryzacji życia społecznego, świecie sekretarzy i sekretarek, prezesów i kierowników, chłoporobotników i działaczy od

wszystkiego, biurokracji i przeciętności, świecie pozbawionym bohaterów i miejsca na rozwój indywidualności. Zamiast prawdy życiowej literatura zaoferowała więc czytelnikowi drogę własnej ucieczki: w rozterki umęczonego intelektualisty, w koszmary wspomnień okupacyjnych, siermiężne sceny z życia marginesu, bogoojczyźniane refleksje z wypraw na Zachód świetnie sparodiowane w *Monizie Clavier* Mrożka, mieszczańską wizję dramatów chłopskiego awansu (czy może być większe nieporozumienie?), prymitywne, poza Lemem, science-fiction, a przede wszystkim ucieczkę w przeszłość, która dała zresztą najlepsze artystycznie wyniki. Zwrot w czas odeszły, podejmowany często dla intelektualnej przyjemności, a często dla ukrytej aluzji politycznej, zaowocował wieloma dobrymi powieściami historycznymi, od piastowskiego cyklu Gołubiewa czy powstałych podczas wojny *Srebrnych orłów* Parnickiego zaczynając, a na *Kąpielach w Lucca* Buczkowskiego czy *Austerii* Strykowskiego, powieściach poświęconych kresowi dawnych, otwartych i uniwersalnych form kultury europejskiej obumierających w pożodze I wojny światowej – kończąc. Dlatego wciąż najlepszą powieścią współczesną pozostaje powstała tuż po wojnie, niechciany *Popiół i diament*, dlatego jedynym pisarzem, który potrafił subtelnie opisywać tę nową, tak prozaiczną (nomen omen) rzeczywistość pozostał do dziś Stanisław Dygat, a Marek Hłasko i Janusz Głowacki pozostają najwrażliwsi jej obserwatorami we wczesnych swych opowiadaniach. Może warto jeszcze dodać, aby nie być podejrzanym o nadmierną powściągliwość. *Złego* Leopolda Tyrmanda i *Sennik współczesny* Tadeusza Konwickiego.

Dlatego też tak ważne miejsce w najnowszej historii polskiej kultury zajmuje polska szkoła filmowa, której twórcy umieli połączyć artyzm z powściągliwością formalną, poetyckość z narracyjnością, w przeciętności dostrzec wielkość, w wielkości groteskę... Ktoś może powiedzieć, że dzień dzisiejszy aż nadto przepełniony jest niezwykłościami, życie w kraju zniewolonym jest ciekawe, piekło zawsze ciekawsze podobno jest niż niebo, choć nie należy przesadzać z porównaniami, że ma ono swych bohaterów i swe ofiary, że nie ma już od czego uciekać. Nie, nie należy się łudzić, literatura nie może żyć niezwykłością. Dopóki nie potrafi ona przełamać swego oporu, swego lęku przed wyobrażoną szarością i przeciętnością życia, dopóty pozostanie przeciętna. I nic tu nie pomogą dyskusje o dzielnych bojach i sporach ideowych naszych dziadów i ojców, ani też ciągłe odgrzewanie sporów romantyczno-klasycystycznych, podobnie jak upolitycznianie literatury i jej gwałtowne oczyszczanie z bieżących zaangażowań. Dopóki żyć będzie ona różnymi formami ucieczki przed codziennością i teraźniejszością, dopóki bełkotać się będzie o potrzebie dystansu wobec wydarzeń, dopóty ucieczka będzie jej nędzą. Rzec by się chciało – niech będzie polityczna, ale niech nie kiwa palcem w bucie na znak protestu, niech nie będzie polityczną, ale niech też nie chowa od razu głowy w piasek! Jeżeli chce być polityczna niech stara się dorównać w tym najlepszym, chociażby *Popiołowi i diamentowi*, jeżeli nie chce być taka, nie musi chcieć zaraz dorównać Gombrowiczowi, niech pamięta przynajmniej o wyciszonym mistrzostwie Dygata! To nadmierny egotyzm polskiej literatury przeszkadza

dza jej scaleniu wewnętrznemu. Literatura zajęta od lat sama sobą pozostaje bezradna wobec tak przełomowych dla życia narodu i jego kultury wydarzeń jak wprowadzenie stanu wojennego, autorzy skupiający się na autoanalizie, wędrujący w swych esejach po odległych epokach i kontynentach a lekceważący teraźniejszość (poza recenzjami z dzieł innych globtroterów), robią właściwie wszystko dla siebie, nie robiąc nic dla literatury; krytycy, którzy akceptują ten stan rzeczy, tworząc, co więcej, listy nazwisk pisarzy, z którymi się nie polemizuje (a któżby w ogóle chciał polemizować z jakąś wypowiedzią Miłosza, Michnika, Kołakowskiego czy Karpińskiego?), zajmując się krytycznie jedynie twórczością na poziomie Bratnego czy Sokorskiego, zamieniają krytykę w panegirykę, wzmacniając egotyczne cechy polskiej literatury, utrzymując jej niedojrzałość, pozwalając by powoli pożerała samą siebie.

Współczesna literatura polska musi przestać być egotyczna i musi umieć zerwać wreszcie z zastępczym strojem historycznym. Ale musi także zerwać z manierą scenki rodzajowej, grypsersą „małego realizmu”, musi przestać nosić koturny godności i szlachetności, w które ubrało ją, w jak najlepszej wierze, pokolenie '68, a których ona nie chce teraz zdjąć nawet wówczas, gdy kładzie się do snu. Niech już raczej będzie nieszlachetna, podła i wyrachowana, niech żyje miłością ludzką, zawiścią i strachem swoich potencjalnych bohaterów byleby potrafiła przekonywać do własnego mistrzostwa. Przekonywać będzie zaś wówczas, gdy potrafi przełamać

psychologiczną barierę w dotarciu do prawdy o życiu współczesnej Polski, z jednej strony wyznaczoną przez samozapatrzenie w siebie, z drugiej przez lęk przed spojrzeniem na to, jak żyją i radzą sobie inni. Tylko tyle i aż tyle.

Egotyzm nie jest tylko cechą wewnętrzną literatury, którą tworzą w większości mali literaci marzący o wielkiej literaturze, ale przedostaje się także do życia literackiego. Oto, na zakończenie, dwa zaczerpnięte z niego, odległe od siebie przykłady. Na obwolutach prozatorskich debiutów lat siedemdziesiątych, tak usilnie reklamowanych, wymieniane były dziesiątki zawodów ich młodych autorów, prawie każdy z nich był jednocześnie kelnerem i robotnikiem, górnikiem i marynarzem, bibliotekarzem i czymś tam jeszcze, taka była wówczas moda, moda „otarcia się” o lud, chociaż, wstyd powiedzieć, w tym samym czasie w Czechosłowacji dziesiątki ich kolegów po piórze rzeczywiście pracowało w tych i podobnych zawodach z powodu objęcia zakazem druku. Niezależne pismo „Arka”, które jest nijakim almanachem sprawozdanych zewsząd tekstów, nim osiągnęło 10 numer zaczęło przyznawać honorowe nagrody za twórczość eseistyczną i literacką. Nagrody przyznano nie młodym autorom, lecz sprawdzonym już i honorowanym, jak Jarosław Marek Rymkiewicz, Adam Michnik czy osądzony sentencją, jak przez starców z Akademii („za całokształt twórczości”) Gustaw Herling-Grudziński – laureaci zapewne czuć się powinni tym wyróżnieniem wielce zaszczytzeni.

Poza i cwaniactwo, próżność i sentymentalizm, głupota i zadufanie nigdy nie przyniosły życiu literackiemu nic dobrego. Podobnie dziś cierpienie na papierze za innych niewiele po sobie pozostawia śladów, Szaruga ma w tym miejscu rację.

Rzecz w tym, że porzucenie jednego tematu dla innego niczego nie zmienia. Nikt w literaturze do niczego namówić się nie da. Jeżeli chcemy zmiany, a na pewno jej przecież chcemy, musimy ukazywać przyczyny słabości, nie jej aktualne boje. Na razie, jak Maria G. w *Postępowcu* Mrożka literatura polska zamiast człowieka rodzi dowody osobiste. W szufladach szeleści pusty papier. I znów, pisarz polski, zniechęcony wizją swojego sąsiada, codziennie rano spotykanego na schodach, jako bohatera przyszłej książki – zaczyna pisać o sobie. No cóż, poczekajmy.

Wiersze

Irina Ratuszyńska

(Od red.) W październiku 1986 roku została zwolniona z łagru Irina Ratuszyńska, młoda poetka rosyjska, której pradziad, jak sama pisze w autobiograficznym tekście *Moja ojczyzna*, zginął w powstaniu styczniowym, walcząc o wolną Polskę. Urodzona w 1954 roku w Odessie, ukończyła studia filologiczne na miejscowym uniwersytecie. Aresztowana 14 września 1982 roku, skazana wiosną 1983 na podstawie osławionego art. 70. na siedem lat łagru i dodatkowo pięć lat zsyłki za rozpowszechnianie w swych wierszach treści antyradzieckich. Wiersze tu publikowane pochodzą z trójjęzycznego (rosyjski, angielski, francuski) wydania jej tekstów: Irina Ratuszinskaja, *Stichi*, HERMITAGE, Ann Arbor 1984. Z tej edycji pochodzi także przedmowa Josifa Brodskiego przytoczona poniżej. Większy wybór tłumaczeń wierszy tej niezwykle uzdolnionej poetki znaleźć można w „Kulturze” nr 6/7 z 1986 roku.

Przedmowa Josifa Brodskiego (frag.)

W niniejszym tomie znajdują się, obok innych, te wiersze, których „przygotowanie i rozpowszechnienie” ściągnęło na 28-letnią autorkę gniew państwa, wyrażający się w tak

niehumanym wyroku. Niezależnie jednak od tego, jaką proporcję ustala państwo między oryginalnością sztuki a losem jej twórcy, zapomina ono, że cierniowy wieniec na głowie śpiewaka ma zdolność przekształcania się w laurowy. Każda sztuka, a zwłaszcza sztuka poetycka, związana z językiem, jest znacznie starsza i trwalsza niż państwo.

Pisanie wierszy nie ma związku z żadnym systemem politycznym; ich rozpowszechnianie również przekracza granice czasu i przestrzeni, w których zamknięte jest państwo. Stąd właśnie strach i nienawiść państwa do prawdziwego poety – zazdrość i nienawiść wobec tego, który będzie trwał dłużej.

Wtrącić poetę do więzienia to tak jak zniszczyć zegar; jest to fałszowanie czasu, ponieważ konstrukcja wiersza polega właśnie na przetworzeniu czasu. To, co nazywa się muzyką wiersza, to, co określamy mianem liryzmu, powstaje właśnie jako efekt wzajemnego oddziaływania czasu i języka, oświetlenia języka przez czas. Ratuszyńska jest poetką niezwykle autentyczną, obdarzoną ogromnym słuchem, wyczuloną zarówno na czas historyczny, jak i absolutny. To twórca dojrzały, o przenikliwym, lecz pozbawianym hysterii głosie. Nie miejsce tutaj na rozważanie literackiej genealogii poetki, choć wpływy Achmatowej i Cwietajewej w jej wierszach są wyraźne. Ale poeta, podobnie jak czytelnik, powinien być wdzięczny losowi za istnienie takich wypływow. Z czym jak z czym, ale z poezją powiodło się Rosji w tym stuleciu nadzwyczajnie. Wiersze Ratuszyńskiej są potwierdzeniem, że wiedzie się

dalej. Jednak cena tego powodzenia jest ogromna – czego dowodem los poetki.

Sądzenie za tak zwane przestępstwa polityczne jest przestępstwem samo w sobie; sądzenie poety jest przestępstwem nie tyle kryminalnym, ile antropologicznym, bo zwraca się przeciw językowi, czyli temu, co odróżnia nas od zwierząt. U końca drugiego tysiąclecia po Chrystusie skazanie 28-letniej kobiety za napisanie i rozpowszechnianie wierszy o nieodpowiadającej państwu treści przypomina neandertalski krzyk – ściślej: świadczy o stopniu zezwierzęcenia, jaki osiągnęło pierwsze w świecie państwo socjalistyczne.

* * *

Dlaczego
Połowa ucieczek – we śnie?
(O, nie bój się – nie dogonią!)
Ciemność wyschła. Oby dożyć!
Lecz w jutrzejszym dniu –
Druga czeka połowa.

Przed żywymi, którzy zimnymi palcami kierują losem,
Z pułapki luster,
Które – jak ostrygi – uchyliły swe zachłanne
skorupki – uciekają!

Nie martw się tym, co za tobą
Za tobą nie ma niczego.
Oto oni już rwą się na smyczy!

Po pustyni asfaltu.
Po ziemi –
Świeży ślad
Zostawiając,
Klucząc,
Nie umiejąc prosić o pomoc –
Uciekamy, biegniemy, dyszymy...
I nie ma
Przed nami Mojżesza.

* * *

I pozostajemy
Na polach zaklętych szachów –
Wszyscy jesteśmy aresztantami.
Nasza kawa
Pachnie spalonymi listami
A otwartymi listami pachną
Urzędy pocztowe.
Ogłuchły dzielnice –
I nie ma nikogo, kto zakrzyknąłby
„Nie wolno!”

I twarze fasad
Zamknęły swe wapienne oczy.
I każdej nocy
Odlatują z miasta ptaki.
I ślepo
Zapalają się nasze światy.
Poczekajcie!
Może to wszystko nam się śni –
Lecz rankiem
Wychodzą gazety.

* * *

Mój smutek to zwierzątko domowe.
Jest ciche i zna słowo „a kysz!”.
Trzeba mi mało – podrapać za uszkiem,
Dać cukierka i szepnąć: trzymaj się.
Nie chwyta mnie za gardło
I nie pokazuje się przy obcych.
Prosta piosenka minutowej wskazówki
Pocieszy je i oczaruje.
Wejdzie mi na kolana,
Po dziecięcemu trąci nosem i uśnie,
A na mój zeszyt rzuci cienie
Bezsensowna żelazna krata.
I tylko nocą, jak mysz w słomie
poruszy się i w półśnie
Cichutko zapłacze o ciepłym domu,
Który jeszcze mi wybudujesz.

Przysposobienie do wolności (część III)

Soter

„Poza Mną nie masz innej wolności”.

Problem niewoli w pismach pierwszych chrześcijan

Powszechnie wiadomo, że ustrój Imperium Rzymskiego opierał się na niewolnictwie. Byli niewolnicy klasą społeczną, byli narzędziami produkcji, byli nieograniczoną własnością swych panów. Ale sytuacja niewolników nie zawsze była jednakowa, musiała ulegać zmianom. Zmniejszenie liczby niewolników na skutek ich słabej rozrodczości, trudność nabycia nowych w okresie pokoju, masowe bunty i powstania – wszystko to wpływało na pewne zmiany w ich traktowaniu, choć zasadnicza poprawa nigdy nie nastąpiła.

Inny od urzędowego był jednak stosunek chrześcijan do niewolnictwa, choć pod tym względem mieli oni poprzedników. Tymi poprzednikami byli stoicy¹. Rodzące się chrześcijaństwo nie mogło i nie chciało pod tym względem zajmować pozycji rewolucyjnej, jednak słowa

¹ Por. „Czas Kultury” nr 2, Przysposobienie do wolności, cz. II.

św. Pawła, że w Kościele niewolnik staje się wyzwolenie-
cem Chrystusa, nie były frazesem². Stosunek chrześcijan
do niewolników był zgoła odmienny od poglądów repre-
zentowanych przez ogół mieszkańców Imperium. W gmi-
nie chrześcijańskiej wszyscy byli naprawdę równi, mieli
te same prawa i obowiązki. Nie jest wprawdzie pewne,
czy biskup rzymski Pius I (140–155) był w swej młodości
niewolnikiem, tak jak jego brat Hermas, autor *Pasterza*,
jednak to przypuszczenie rzuca pewne domniemania co
do absolutnej równości pomiędzy członkami gminy. War-
to wspomnieć, iż edykt wydany przez papieża Kaliksta I,
ogłaszający za ważne małżeństwa zawarte pomiędzy ko-
bietami szlachebnymi a niewolnikami, wywołał pewne
oburzenie wśród konserwatywnie nastawionych chře-
ścijan. Chrześcijanie nie ograniczali się tylko do ludz-
kiego traktowania niewolników i do poszanowania ich
godności ludzkiej. Dawali im także pracę materialną,
przyjmowali w swoich domach chorych i starych, wyrzu-
conych przez właścicieli niewolników. Był w tej postawie
paradoks, życie wyprzedzało doktrynę i nie sądzono, by
było to niesłuszne. Oficjalnie nie znoszono niewolnic-
twa, licząc się z rzeczywistością, ale pomału znoszono je
w praktyce. Niewolników nie tylko pociechę wiary w ży-
cie przyszłe, ale i uznanie ich godności ludzkiej w życiu
doczesnym, a także pomoc, by mogli żyć jak ludzie.

Fundamentalne, w kwestii dotyczącej niewolnictwa,
stają się wypowiedzi św. Pawła z 1 Listu do Koryntian:
„wszyscy bowiem w jednym duchu zostali ochrzczeni,

² 1 Kor 7,22. Wszystkie cytaty z Pisma Świętego wg wyd. III Biblii Tysiąclecia, Poznań 1980.

[aby stanowić] jedno ciało: czy to Żydzi, czy Grecy, czy to niewolnicy, czy wolni”³ i z Listu do Kolosan: „A tu już nie ma Greka ani Żyda, obrzezania ani nieobrzezania, barbarzyńcy i Scyty, niewolnika i wolnego”⁴. Z przytoczonych wypowiedzi Apostoła Narodów widać, że nauka chrześcijańska od początku głosi hasła równości i sprawiedliwości, także społecznej. Zgodnie jednak ze swym powołaniem i naturą teistyczną wprowadza tę równość przede wszystkim jako równość ludzi wobec Boga, która jednak – zgodnie z nakazem naśladowania Boga – przenosi się do etyki chrześcijańskiej jako pochodna zasada stosunków między ludźmi. Święty Piotr, co zostało zapisane w Dziejach Apostolskich, mówi: „Bóg mi pokazał, że nie wolno żadnego człowieka uważać za skazanego lub nieczystego”⁵. Uzasadnienie tej wzajemnej ludzkiej równości tłumaczą czynniki religijne: grzech pierworodny, wspólne słuźenie Bogu, ta sama wiara. Nie może więc być w stosunkach ludzkich odróżniania ludzi moralnych od niemoralnych, wolnych od niewolników i tym podobne, skoro Bóg tych różnic nie uznaje. Stąd rzymska gradacja stopni moralności nie ma zastosowania w etyce chrześcijańskiej. Nie od rzeczy będzie tu przypominać, jak odmiennie jest uzasadnienie równości ludzi w etyce rzymskiej. Wspólna matka wszystkich ludzi, natura, wydaje ich na świat jako braci wolnych i równych sobie, a ta równość w wolności jest istotną przesłanką godności przysługującej każdemu człowiekowi jako istocie obdarzonej twórczym rozumem. Jak widać, chrześcijańska równość

³ 1 Kor 12,13.

⁴ Kol 3,11.

⁵ Dz 10,28.

w niewoli i poddaństwie jest jaskrawym zaprzeczeniem podstawowych zasad etyki rzymskiej. Natomiast jest pewnym odbiciem historycznych stosunków świata niewolniczego, gdzie właściciel niewolników, bogacz, stawał się takim samym niewolnikiem jak jeniec-biedak, będąc na przykład uprowadzonym jako jeniec wojenny. Godne jest także podkreślenia, że etyka rzymska jako etyka świecka nie uzależnia równości od wyznania określonej wiary. Natomiast etyka chrześcijańska jako teistyczna siłą rzeczy ogranicza zasadę równości jedynie do grona współwyznawców. Do niechrześcijan zasada ta nie ma zastosowania.

Zarysowuje się także ograniczenie równości chrześcijańskiej niespotykane w etyce rzymskiej. Jeżeli w źródłach dotyczących wczesnego chrześcijaństwa⁶ podkreśla się z naciskiem, że biedny jest równy bogatemu, to z drugiej strony można zauważyć wywyższenie ubogich jako wybrańców Bożych: „Czy Bóg nie wybrał ubogich tego świata na bogatych w wierze”⁷. Według Ewangelii św. Łukasza przecież: „Błogosławieni jesteście, wy, ubodzy, albowiem do was należy królestwo Boże”⁸. Wywyższenie ubogich tłumaczy miłosierdzie Boże, które niesie im pociechę jako najbardziej cierpiącym. „Pójdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię”⁹.

⁶ Ap 13,16; Jk 2,2.

⁷ Jk 2,5.

⁸ Łk 6,20; 16,22,23.

⁹ Mt 11,28; Łk 6,20, 16,25.

Drugi powód wywyższenia ubogich stanowi fakt, iż jako ludzie prości są bardziej podatni na wpływ wiary, a ich serca są bardziej otwarte na miłość Bożą. Są to „ubodzy w duchu”, którym obiecano Królestwo Niebieskie. Paweł z kolei tłumaczy: „Znacie przecież łaskę Pana naszego Jezusa Chrystusa, który będąc bogaty, dla was stał się ubogim, aby was ubóstwem swoim i ubogacić”¹⁰.

Przejdźmy teraz do licznych wypowiedzi Apostoła Pawła na temat niewolnictwa. Apostoł nie zachęca niewolników do walki o wyzwolenie¹¹, nakazuje im pozostać w tym powołaniu, które im Bóg wyznaczył. „Niechaj was nie zwozdi próżnymi słowami, bo przez te [grzechy] nadchodzi gniew Boży na buntowników”¹².

„Wszyscy, którzy są pod jarzmem jako niewolnicy, niech własnych panów uznają za godnych czci, ażeby nie bluźniono imieniu Boga i [naszej] nauce”¹³. „Niewolnicy niech będą poddani swym panom we wszystkim, niech się starają im przypodobać, niech się im nie sprzeciwiają, niczego sobie nie przywłaszczają, lecz niech okazują zawsze doskonałą wierność ażeby pod każdym względem stali się chlubą dla nauki naszego Zbawiciela Boga”¹⁴. W Liście do Kolosan św. Paweł w sposób najbardziej jaskrawy formułuje zasadę, że służba panu w pokorze i cierpliwości jest służbą Chrystusowi: „Służcie Chrystusowi Panu!”¹⁵.

¹⁰ 2 Kor 8,9.

¹¹ .

¹² Ef 5,6.

¹³ 1 Tm 6,1.

¹⁴ .

¹⁵ .

W wywodach Apostoła Pawła, jak widać, decydują nie względy gospodarczo-społeczne, lecz religijne. Wolność w świecie nie ma znaczenia, każdy bowiem, czy to wolny, czy niewolnik, jest niewolnikiem Chrystusa: „Albowiem ten, kto został powołany w Panu jako niewolnik, jest wyzwoleniem Pana”¹⁶. Paweł także formułuje dwie nowe zasady: możesz być wolny, raczej wolności używaj¹⁷ i nie bądźcie niewolnikami ludzkimi¹⁸. Jednak zasady te nie są skierowane przeciwko niewolnictwu, lecz mają inne znaczenie; pierwsza oznacza w warunkach ustroju rzymskiego, że jeżeli nadarzy się okazja wyzwolenia, można z niej korzystać. Wymagało to podkreślenia, gdyż niewolę uznano za ustanawianą przez Boga, a niewolnika za wzór sługi Chrystusowego. Wobec tego powstawała wątpliwość, czy wolno z wyzwolenia w ogóle korzystać. Wątpliwość tę, jak widzimy, Apostoł rozstrzyga w sensie pozytywnym. Druga teza św. Pawła w warunkach rzymskich ma charakter zakazu sprzedawania się do niewoli, wbrew praktyce, która uciera się wśród biednych wyzwoleńców.

Paweł określa także obowiązki pana wobec niewolnika i nakazuje: „Panowie, oddawajcie niewolnikom to, co sprawiedliwe i słuszne, świadomi tego, że i wy macie Pana w niebie”¹⁹. Dla niewolników istotne było, czy mają być ulegli wobec panów okrutnych, czy też mogą przeciwko nim się bronić. Wiadomo, że niewolnicy występowali w obronie przeciw surowości panów. Na tę wątpliwość

¹⁶ 1 Kor 7,22.

¹⁷ 1 Kor 7,21.

¹⁸ 1 Kor 7,22.

¹⁹ Kol 4,1.

odповідź daje św. Piotr: „Niewolnicy! Z całą bojaźnią bądźcie poddani panom, nie tylko dobrym i łagodnym, ale również i surowym”²⁰. Decyduje tu zasada naśladowania Chrystusa: „To się podoba Bogu, jeśli i ktoś ze względu na sumienie [uległ] Bogu znosi smutki i cierpi niesprawiedliwie”²¹. „Do tego bowiem jesteście powołani, Chrystus przecież cierpiał za was i zostawił wam wzór, abyście szli za Nim Jego śladami”²². Z kolei Apostoł Paweł wypowiada się przeciwko krwawej walce z panami. W związku z tym napisał: „Nie toczymy bowiem walki przeciw krwi i ciału, lecz przeciw Zwierzchnościom, przeciw Władzom, przeciw rządóm świata tych ciemności, przeciw pierwiastkom duchowym zła na wyżynach niebieskich”²³. Święty Paweł ustosunkowuje się także negatywnie przeciwko ucieczkom niewolników.

Ustalono wyżej, że według nauki wczesnego chrześcijaństwa wolność człowieka nie ma wartości, niewola zaś stanowi szkołę cnót chrześcijańskich; przez to wzorowy niewolnik staje się wzorowym Sługą Chrystusa. Stąd Apostoł Narodów wyprowadza wniosek, że każdy niewolnik powinien pozostać w swoim stanie i nie powinien starać się o wyzwolenie, które nie stanowi nakazu sumienia chrześcijańskiego.

Jak z powyższych wywodów widać, chrześcijaństwo głosem swych pierwszych przedstawicieli głośno i otwar-

²⁰ 1 P 2,18-21.

²¹ 1 P 2,19.

²² 1 P 2,21.

²³ Ef 6,12.

cie nawoływało i dążyło, acz nie bezpośrednio, tylko na płaszczyźnie teistycznej, do poczucia zrównania wszystkich ludzi. Jako że chrześcijaństwo nie było ruchem społecznym, w tej, jak i w innych dziedzinach nie przygotowywało się do walki ani do przewrotu politycznego. Wszelkie tezy społeczno-socjalne były głosem wyznawców wiary, a nie hasłami przywódców politycznych. Problem niewolnictwa znalazł swe rozwiązanie już w pierwszych powstałych gminach, gdzie podział na niewolników i wolnych nie istniał. W tym kontekście wielkim uproszczeniem wydają się słowa Engelsa: „Chrześcijaństwo знаło tylko jedną równość wszystkich ludzi, równość w grzechu pierwotnym”.

Problem niewoli w pismach wczesnych Ojców Kościoła

Ojców Kościoła wczesnego okresu (III w.) charakteryzuje duża doza powściągliwości w stosunku do niej. Stąd poglądy Ojców nie zawsze są zgodne ze stanowiskiem oficjalnej filozofii i ideologii rzymskiej. Wśród Ojców Kościoła wczesnego okresu charakterystyczny jest pogląd o bezwzględnej wyższości nauki chrześcijańskiej nad całą filozofią antyku (Tertulian). Chrystus staje się nauczycielem i rozjemcą dla całego rodzaju ludzkiego, a filozofia jest tylko wyrazem ludzkiej mądrości.

Spróbujemy prześledzić pokrótce na tym tle wypowiedzi Ojców Kościoła pierwszych wieków na temat ich stosunku do interesującego nas zagadnienia niewoli i wolności.

TERTULIAN

Odrzucając cały system filozoficzny rzymski, nie interesuje się problemem wolności niewolnika w sensie społecznym. Odmawia on człowiekowi całkowicie prawa do wolności. Pana Boga nie obowiązuje zasada życzliwej łagodności w stosunku do człowieka, która według niego łączy się z pojęciem nie pana, lecz ojca²⁴. Zgodnie z tym pozycję człowieka określa Tertulian jako pozycję niewolnika (*servus et Christi*).

LAKTANCJUSZ

Określany mianem pioniera chrześcijańskiej literatury filozoficznej. W przeciwieństwie do Tertuliana korzysta z osiągnięć i myśli filozofii rzymskiej. Zwolennik filozofii Cycerona. Laktancjusz, podobnie jak Tertulian, uważa, że Bóg jest prawdziwym i najwyższym panem człowieka, (*dominus dominorum*), człowiek zaś jest sługą i niewolnikiem (*servus Dei*). Człowiek z wiarą i strachem jako niewolnik Boga powinien być mu posłuszny i mu służyć²⁵. Jednak Bóg, według Laktancjusza, nie tylko panuje nad człowiekiem i nim rządzi, lecz także ma go w swej opiece²⁶. Bóg staje się więc nie tyle panem (*dominus*) człowieka, ile ojcem (*pater*)²⁷. Takie spojrzenie na wolność niweluje aspekt społeczny tejże i przenosi ją w sferę teistyczną. Na plan pierwszy wysuwa się natomiast potęga Boga, jego łagodność i opieka. Dla Laktancjusza ważne jest, że nie ma podziału na wolnych i niewolników, bogatych i bied-

²⁴ Tertullianus, Apologeticum 34,2.

²⁵ Lactantius, Epistulae divinarum institutionum 6. 2. 3.

²⁶ Lact. Epist. 36,3.

²⁷ Lact. Epist. i Divinarum institutionum libri VII 5,18,14; 36,3.

nych²⁸, „wszyscy uważamy się za braci równych sobie”²⁹. Jednak równość ta pozostawała równością na płaszczyźnie duchowo-religijnej, nie zaś w stosunkach materialno-społecznych. Aby doszło do tego zrównania, ciągnie Laktancjusz, potrzeba dobrowolnego poniżenia się ze strony lepiej usytuowanych³⁰. W rozważaniach Laktancjusza istotnie nie spotykamy żadnych ideałów społecznych, politycznych lub prawnych. Brak też jakichkolwiek postulatów reform stosunków społeczno-politycznych i cienia ich krytyki. Człowiek nie tylko nie jest w stanie polepszyć stosunków tego świata, lecz jego zdaniem nie powinien tego czynić. Losy tego świata zależą wyłącznie od woli Boga.

Własność jednostkowa, która znajduje negatywną ocenę jako źródło nierówności i walk społecznych wśród pisarzy stoickich z Seneką na czele, nie budzi żadnego sprzeciwu u Laktancjusza, stanowi ona bowiem podstawę miłosierdzia i dobroczynności chrześcijańskiej. Laktancjusz uświadamia, że rzymska równość zasadniczo różni się od chrześcijańskiej. Jest ona wyłącznie równością religijną i duchową, która wcale nie przeszkadza, by w gminie chrześcijańskiej istnieli niewolnicy i biedni³¹.

AMBROŻY

W jego pismach uwidacznia się jeszcze większy i bardziej pozytywny stosunek do filozofii Cyncerona. Mówi się wręcz

²⁸ Lact. Instit. 5,14,17.

²⁹ Lact. Instit. 5,15,2.

³⁰ Lact. Instit. 5,15,4.

³¹ Lact. Instit. 5,12,2 i 3-4.

o „chrystianizacji” Cycerona przez św. Ambrożego, co najbardziej uwidacznia się w dziele *De officiis ministrorum*. Dzieło to przez długie wieki było jednym z nielicznych obowiązujących w Kościele zachodnim podręczników moralności chrześcijańskiej. Ambroży, będąc kontynuatorem myśli Tertuliana i Laktancjusza, za najważniejsze uważa zagadnienie nie stosunku między ludźmi, lecz pomiędzy Bogiem i człowiekiem. Jest to dla Ambrożego stosunek dwóch niewspółmiernych i nieporównywalnych wartości. W obliczu potężnego Boga człowiek jest nędzną, słabą i bezradną istotą³². Stąd właśnie Bóg i człowiek stają się wielkościami, których nie da się porównać. Stosunek ten nie może być oparty na zasadzie nawet względnej równości. Jest to stosunek bezwzględnej władzy Boga i bezwzględnego podporządkowania mu człowieka. Szukając analogii w ówczesnych stosunkach społecznych, Ambroży, zgodnie z tradycją chrześcijańską, potrzebną analogię widzi w stosunkach pomiędzy panem (*dominus*) a niewolnikiem (*servus*). Tak Bóg to *dominus*, a wierny chrześcijanin to sługa Boga. Precyzując stosunek Boga do człowieka, Ambroży używa określenia *potestas vitae nescigue*³³, którego prawnicy używali do określenia władzy pana. Jednak pomiędzy zwykłą niewolą a służbą Bogu Ambroży widzi zasadniczą różnicę. *Servitus Dei* jest niewolą dobrowolną oraz służbą na rzecz pana nad panami. Wobec instytucji niewolnictwa Ambroży zajmuje stanowisko konserwatywne. Nie żąda zniesienia niewoli ani jakiegokolwiek złagodzenia sytuacji niewolników, zgodnie z zasadami przejętymi przez św. Pawła. Nie znać nawet cienia

³² Ambrosius, De obitu Theodosii, orat. 26.

³³ Por. Gaius, Institutiones 1,53.

krytyki w jego działach. Stanowisko Ambrożego tłumaczy fakt, że chrześcijanin powinien dbać przede wszystkim nie o rzeczy ziemskie, lecz o osiągnięcie Królestwa Bożego³⁴. W świetle tego poglądu teistycznego różnica pomiędzy wolnością a niewolą zatracą wszelkie znaczenie³⁵. Wszyscy są bowiem niewolnikami Boga³⁶.

AUGUSTYN

Określany jako najbardziej samodzielny i najbardziej zgodny z wiarą spośród Ojców Kościoła pierwszych wieków. Stosunek Augustyna do filozofii rzymskiej opiera się na całkowitej jej negacji³⁷, jak i negacji filozofii w ogóle. Augustyn twierdzi, że filozofii nie da się pogodzić z istotą chrześcijaństwa³⁸. Przyznaje on najwyższy autorytet Piśmie Świętemu jako księdze natchnionej. Augustyn przyjmuje, że instytucje społeczne, jako ustanowione z woli Boga, pod wpływem wiary chrześcijańskiej i Kościoła przyczyniły się do poprawy obyczajów i stosunków między ludźmi. Bogobojni cesarze chrześcijanie, kierując się zasadami moralności chrześcijańskiej, sprawują władzę w duchu teokracji. Z całą stanowczością Augustyn potępia wojny niewolnicze i samobójstwa w celu uniknięcia niewoli, a za wzór stawia świętych, którzy poddali się niewoli jako dopustowi Bożemu³⁹, przeciwstawiając im Katona, który odebrał sobie życie, aby jej uniknąć.

³⁴ Ambrosius, *De officiis ministrorum* 1,36,184.

³⁵ Ambrosius, *O exhortatio virginitatem* 1,1,3.

³⁶ Ambrosius, *Epistulae* 1,2,31.

³⁷ Augustinus, *Confessiones* 3,2,8.

³⁸ Por. W. Tatarkiewicz, *Historia filozofii*, t. I, s. 231.

³⁹ Augustinus, *De civitate Dei* 1,24.

PELAGIUSZ

Określany jest jako ostatni przedstawiciel Ojców Kościoła wczesnego okresu. Pelagiusz zwykle przeciwstawiany bywa św. Augustynowi, jako że przyjął tezy rzymskiej etyki w całej rozciągłości. Przyjmuje on, że stosunek Boga do człowieka opiera się na całkowitej nierówności. Bóg określany został przez Pelagiusza jako potężny stwórca i władca wszechświata, człowiek zaś jako istota bezradna. Człowiek w związku z tym może poznać jedynie prawdę moralną dzięki łasce Boga, który objawił ją w osobie Chrystusa.

Pelagiusz nie rozważa w ogóle stosunku niewola–wolność w sensie społecznym. Dla niego paradygmatem wolności jest *liberum arbitrium* – wolna wola. Ona to czyni człowieka wolnym bądź niewolnikiem. Ona to wywyższa go nad innych, jest ona od człowieka niezależna. Pozwala dokonać wyboru pomiędzy dobrem a złem. Staje się chlubą człowieka, nadaje mu bowiem wartość i godność. Wobec tego, że człowiek może czynić dobrze bądź źle, a czyni dobrze, owa wolna wola czyni z niego człowieka wolnego niezależnie od statusu społecznego, w którym się znajduje.

Ten krótki i syntetyczny przegląd poglądów na zjawisko wolność–niewola w czasach chrystianizacji Cesarstwa Rzymskiego pozwala jednak zauważyć zmianę orientacji w sposobie klasyfikowania tych pojęć. Widać, że rodzące się chrześcijaństwo swój stosunek do wolności zbliżyło do podobnego w wymowie spojrzenia stoickiego. Nadanie

teistycznego wymiaru tym pojęciom znacznie poszerzyło ich zakres. Po raz pierwszy spotykamy się z rozszerzeniem pojęcia „niewola” na wzór stosunków człowieka do Boga. Trzeba stać się niewolnikiem (będąc nawet wolnym), chcąc być prawdziwym chrześcijaninem. Trzeba oddać się w niewolę Miłości Boga. Następuje przewartościowanie pojęcia „niewolnik” przez określanie nim tych ludzi, którzy wiary chrześcijańskiej nie wyznają. Niewolnikiem można się stać, pozostając w niewoli grzechu. Stan niewoli można przenieść w życie przyszłe, umierając w stanie grzechu ciężkiego.

Często usłyszeć można stwierdzenie, że chrześcijaństwo, głosząc tak wzniosłe idee, nie przyczyniło się do zniesienia niewolnictwa w Cesarstwie. Odpowiedź na to pytanie nie należy jednak do trudnych. Rodzące się chrześcijaństwo nigdy nie stawiało sobie za cel przeprowadzenia rewolucji w zakresie socjalnym. Obrazoburczy i rewolucyjny charakter chrześcijaństwa polegał wyłącznie na rewolucyjności w sferze ducha. I tylko pod takim kątem można postawiony problem rozpatrywać. Jeśli wysuwano postulaty socjalne, nigdy nie były to wezwania do obalenia istniejących struktur społeczno-politycznych, status quo geopolitycznego i innych. A że wszechogarniająca, uniwersalistyczna etyka chrześcijańska tyle wspólnego ma z codziennością, że poza nią nie może wykroczyć. To tylko jej ogromna nadprzyrodzona zaleta, a nie wada, jak by chcieli niektórzy. I tak trwa to od starożytności poprzez dzień dzisiejszy, a trwać będzie po Kres.

Wiersze

Jan Kasper

Boże Narodzenie 1981

Ani i Waldkowi

Jak w słynnym filmie Eisensteina,
zobaczyliśmy niemowlęcy wózek.
Raptem wyrwał się z nieostrożnych rąk
i zaczął spadać po stopniach schodów.

Dziecko spało o niczym nie wiedząc.
Oddalało się szybko
od naszego przerażenia.

Późno

Późno,
lecz nie chcę zaniedbać
nawet godzin przeznaczonych na sen.
Jakim innym sposobem mógłbym zasłużyć
na przychyłność, na okrucz serdeczności
tych kilkorga, którzy mają cierpliwość
mnie słuchać i podejmować ze mną spór.

Więc, mimo zmęczenia, nie odkładam
długopisu i nie ustaję (to mój obowiązek)
w porządkowaniu rozrzuconych figur,
wcale nieważne czym są – intelektualnym
modelem świata, nieodgadnionym szyfrem Boga
czy tylko prymitywną dziecięcą zabawką.
Pewnie wszystkim naraz.

Istotą sprawy jest jednak ruch,
w jeden posłuszny instrument scalający
ręką i umysł.

Ruch, który wyprzedza śmierć.

Kraj niestrzeżony (frag. poematu)

6.

Wiejskie domy, pudełko przy pudełku po słodyczach. Z ponurym skrzypieniem łańcucha przejeżdża obok nich na rowerze listonosz. Zaraz zatrzyma się przed którymś z upatrzonych, ledwo czytelnych numerów i będzie chwilę grzebał w skórzanej torbie. A potem zastuka do drzwi. Ktoś je otworzy. Pozostawiona z dziećmi żona albo matka, jakiś zniecierpliwiony adresat czyichś smutnych zwierzeń, napisanych chaotycznym i niepoprawnym stylem, lecz przez to jeszcze bardziej autentycznych. Twarz listonosza, wręczającego list, będzie mieć zapewne tę sam beznamiętną barwę, co jego służbowy mundur – barwę wystygłego popiołu.

Złowieszczy odgłos łańcucha rozlega się znowu, tym razem z dalszej odległości, już mniej słyszalnie. Przed naszym domem schną na płocie królicze skórki, kury – rozleniwione przez słońce – szukają zacienionych miejsc. Robotnicy przerywają o tej porze zajęcia w pobliskiej spółdzielni rolniczej i pojedynczo lub grupkami wracają na obiad. Wkrótce, zrzuciwszy przepocone bluzy i pochyliwszy się nad miednicami, zaczną zmywać tłusty brud.

Odwracam się od okna. Matka stoi przy piecu, gotuje przechowaną przez zimę brukiew. Mógłbym przysiąc, iż to, co znajduje się na powierzchni garnka, nie jest wcale brukwią, ale żółtą czaszką, o ostrych, azjatyckich rysach. Jej bryła stężała jest w gniewie, który napiął do granic wy-

trzymałości mięśnie, wypchnął na zewnątrz bulwy oczu, wykrzywił linię ust i który rośnie niewidoczny, jakby chciał wydostać się ku mnie, rozrywając ściany swojego więzienia.

Wybiegam przerażony na podwórze, nie reagując na wołania matki, na wciskający się pod powieki słoneczny kurz. Kłębi się we mnie tyle pytań. Czy to, co ukazało mi się w wielkiej aureoli garnka, było głową pokonanej bestii? Czy jej gniew, trwalszy od niej samej, ocalał po to, by dręczyć takich jak ja – zagubionych wśród zawitych znaków historii, mniej niepodległych niż mysz domowa – polskich chłopaczków? Prawdziwe imię bestii dźwięczy w moich myślach jak złe zaklęcie, brak mi jednak odwagi, żeby je wymówić, a tym samym – unieważnić, oddalić od siebie.

Ty jeden. Boże, mógłbyś mi powiedzieć, kiedy skończą się te straszne dni, kiedy otworzą się cele i wyjdą z nich wolni – mój dziadek i ojciec, wszyscy niewinni mieszkańcy mojej cichej rozpaczy.

Pozwól być mi z nimi, pozwól być mi obecnym w iluzorycznym świecie ich samotności, samotności, samotności. Kieruj do końca moją dłońią, która sięga do kieszeni, aby wyjąć zmiętą kartkę pokrytą drogim mi pismem i włożyć ją w usta. Przeżuwam ją długo, aż wreszcie – pokonując opór organizmu – cierpliwie przełykam do ostatniego kęsa.

Strach nie ma już nade mną władzy.

Życie chasydów. Część III: *kavana* (intencja)

Martin Buber

Kavana jest tajemnicą duszy zmierzającej do celu.

Kavana nie jest wolą, nie myśli o przeniesieniu wyobrażenia w świat rzeczy teraźniejszych, o uczynieniu z marzenia rzeczy łatwo dostępnej, której dla własnej wygody można doświadczyć raz jeszcze. Nie jest jej pragnieniem wrzucić kamień działania do niewyczerpanego źródła zdarzeń, którego wody nie mogą zostać na chwilę zmącone i niespokojne, tylko po to, aby za moment powróciły do głębokiego powołania ich istnienia, nie pragnie też podłożyć iskry pod lont biegnący przez kolejne pokolenia, którego płomień mógłby je rozpalić dopóty, dopóki nie wygaśnie w jednym z nich bez żadnego śladu bądź szaleństwa. Nie na tym polega sens *kavany*, iż konie ciągnące wielki wóz powinny odczuć jeden impuls więcej albo że jeden budynek więcej powinien być wzniesiony pod niebem przepelnionym gwiazdami. *Kavana* nie oznacza przyczyny, lecz cel.

Nie istnieje wiele różnych celów, jest tylko jeden cel. Jest tylko jeden cel, który nie kłamie, który nie jest uwikłany w żadną nową drogę, a tylko w tę jedną, w której zbiegają się wszystkie inne, przed którą żadna boczna droga nie może umknąć na zawsze: zbawienie.

Kavana jest promieniem Boskiej chwały, który zamieszkuje w każdym człowieku i oznacza zbawienie. Szekina powinna wrócić do domu ze swego wygnania i tym właśnie jest zbawienie. „Nadejdzie taki czas, gdy z Szekiny opadną wszystkie zasłony i będzie się mogła oczyścić i zjednoczyć ze swym panem w doskonałej jedności”. Na znak tego objawi się Mesjasz i obdarzy wszystkich wolnością.

Chasyd przez całe swoje życie wierzy, że to musi się wydarzyć tu i teraz. Dlatego słyszy głosy narastającego w gardłach wrzasku i czuje ziarno wieczności w czasie, tak jak gdyby tkwiło ono w jego krwi. I dlatego zawsze wierzy, że właśnie ten moment i tylko ten będzie momentem wybranym. Jego wyobraźnia oddziałuje na niego żarliwiej niż kiedykolwiek, ponieważ głos przemawia bardziej rozkazująco, a ziarno pęcznieje jak nigdy dotąd.

Mówi się o pewnym cadyku, iż oczekiwał zbawienia z takim utęsknieniem, że gdy usłyszał jakiś tumult na ulicy, natychmiast zapytał, co to jest i czy posłaniec już przybył; i za każdym razem gdy szedł spać, przykazywał swemu służącemu, aby go obudził, w chwili gdy posłaniec

nadejdzie. „Nadejście zbawcy było tak głęboko zakorzenione w jego sercu, iż był jak ojciec oczekujący przybycia swego jedyne go syna z odległego kraju, który stojąc w oknie wysokiej wieży, z tęsknotą w oczach wypatruje, a gdy ktoś otwiera drzwi, spieszy, by zobaczyć, czy to czasem jego syn nie przybył”. Inni jednakże są świadomi poczynionego kroku, wiedzą o miejscu i godzinie ścieżki i znają odległość, jaka ich dzieli od Nadchodzącego. Każda rzecz ukazuje im niedokończoną postać świata, przemawia do nich potrzeba istnienia, a tchnienie wiatrów przynosi im gorycz. Świat w ich oczach jest jak niedojrzały owoc. Od wewnątrz uczestniczą w chwale – po czym spoglądają na zewnątrz: wszystko spoczywa w walce.

Gdy wielki cadyk Rabbi Menachem¹ był w Jerozolimie, zdarzyło się, że głupiec wspiął się na Górę Oliwną i zagrał na trąbce szofar. Nikt go nie spostrzegł.

Pośród ludzi powstało zamieszanie, myśleli bowiem, że był to głos szofaru wieszczący zbawienie. Usłyszał o tym Rabbi, otworzył okno i wyrżał na świat. I powiedział od razu: „Tutaj nie ma odkupienia”.

¹ Zgodnie z tradycją chasydzką Wielki Maggid miał 300 uczniów. Jednym z największych był Menachem Mendel z Witebska (zm. 1788). Gdy miał 18 lat, jego nauczyciel przyprowadził go do Międzyborza, a tam Baal-Szem-Tow, za pomocą przypowieści o wole i pługu, przepowiedział mu wielką podróż do „serca świata”. I tak też się stało. Największą zasługą Rabbiego Menachema było przeszczerzenie ruchu chasydzkiego na grunt Palestyny. W 1777 r. wraz z 300 chasydami wyruszył do Ziemi Świętej i osiedlił się najpierw w Safed, a później w Tyberiadzie. Rabbi Izrael z Rużyna powiedział: „Podróż Rabbiego Mendla do Ziemi Świętej była jak podróż naszego Ojca Abrahama. Ich zadaniem było utworzyć drogę Bogu i Izraelowi”.

Oto jest droga zbawienia: wszystkie dusze i wszystkie iskry² dusz, które odłączyły się od duszy pierwotnej, zatopiły i rozsypały we wszystkich stworzeniach podczas pierwotnej ciemności świata albo z powodu winy dziejów, powinny skończyć swoją wędrówkę i oczyszczone powrócić do domu. Chasydzi opowiadają o tym przypowieścią o księciu, który pozwala rozpocząć posiłek tylko wtedy, kiedy przybył ostatni z gości.

Wszyscy ludzie są domem wędrujących dusz. One zamieszkują w wielu stworzeniach i dążą od formy do formy ku doskonałości. Dusze, które nie mogą się oczyścić, pozostają w „świecie chaosu” i budują swoje domy w jeziorach wody, kamieniach, roślinach i zwierzętach, oczekując na godzinę zbawienia.

To nie tylko dusze, także iskierek dusz wszędzie są więzione. Nie ma rzeczy bez nich. Żyją we wszystkim, co istnieje. Każda forma jest ich więzieniem. Oto znaczenie i misja *kavany*: jest darowana ludziom, aby podnieśli upadłych, uwolnili uwięzionych. Czekać to mało, mało wypatrywać Tego, który nadchodzi: człowiek jest w mocy dążyć ku zbawieniu świata.

² Iskry: hebr. *Nitzotzot*. Nauka o iskrach wywodzi się ze starożytnych żydowskich komentarzy do Księgi Genesis, a zwłaszcza z tzw. *Bereshith Rabbah*, haggadycznego komentarza z III w. n.e. W pełni została rozwinięta w XVI-wiecznej Kabale Lurii. Według tej nauki akt stworzenia, emanacji Boga w świat, poprzedziła kosmiczna katastrofa – naczynia poszczególnych Sefirot nie wytrzymały mocy Boskiego światła i nastąpiło „pęknięcie naczyń” (*szewirat ha kelim*). Święte iskry upadły i zostały uwięzione w skorupach (*kelippot*) rozbitych naczyń, które spadając w królestwo ciemności, dały początek materii. Pomimo to akt stworzenia był aktem dobroci Stwórcy (komentarze haggadyczne i kabalistyczne często powracają do wersetu 1,31 z Księgi Genesis: „A Bóg widział, że wszystko, co uczynił, było dobre”), upadek bowiem i wygnanie Iskiek Bożych na „drugą stronę” (*sitra ahra*), w ciemność i zło, ostatecznie zmierza do wielkiego przywrócenia (*tikkun*) wszystkiego do pierwotnej Jedni i powrotu do domu Ojca. W procesie uwalniania i zbawienia iskiek wielka rola przeznaczona jest człowiekowi.

Tym właśnie jest *kavana*: tajemnicą duszy prowadzonej ku zbawieniu świata.

Legenda opowiada o kilku świętych mężach, którzy wyobrazili sobie, że przez szaleństwo i siłę dokonają zbawienia. Tak dzieje się w tym świecie – owi mężowie byli tak rozpaleni łaską ekstazy i obejmowaniem samego Boga, że od tej chwili wszystko wydawało się im możliwe do osiągnięcia. Tak dzieje się również w świecie mającym nadzieję – pewien umierający cadyk powiedział: „Moi przyjaciele odeszli stąd z zamiarem przyprowadzenia Mesjasza, lecz w upojeniu zapomnieli o tym. Ja nie zapomnę”.

W rzeczywistości jednak każdemu dane jest spełnienie w jego własnej dziedzinie. Każdy człowiek ma własną sferę istnienia w czasie i przestrzeni, jemu przeznaczoną, którą tylko on może ocalić. Miejsca ociężałe nie rozbłyśły jeszcze iskrami, w których spętane są dusze, oczekują człowieka, który przyniesie im słowo wolności. Kiedy chasyd nie może się modlić w jednym miejscu i wędruje do drugiego, wtedy opuszczone miejsce żąda odpowiedzi: „Dlaczego nie wypowiesz słów świętych nade mną? A jeśli zło we mnie, to ty właśnie powinienesz wybawić”. Ale wszystkie wędrowki mają swe tajemne przeznaczenia, których wędrowiec nie jest świadomy.

O pewnych cadykach mówiono, iż posiadali opiekuńczą moc nad wędrującymi duszami. Zawsze, a szczególnie wtedy, gdy stali w modlitwie, wędrowcy wieczności zjawiali się przed nimi, błagając o zbawienie z ich rąk. Owi

cadycy wiedzieli również, jak odnaleźć niemych pośród wygnańców umęczonego ciała w ciemności żywiołów i jak ich wskrziesić.

Ta pomoc, rzucana w sam środek okrutnych niebezpieczeństw, jest przeraźliwym ryzykiem, tylko święty jest w mocy unieść jej ciężar i nie upaść.

„Tylko ten, który posiada duszę, może zstąpić w otchłań, szybko zdążając ku obręczy ponad nim, uczepiony swoich myśli jak mocnej liny. On powróci. Ten natomiast, który posiada tylko życie bądź tylko życie i ducha, ten, który nie sięgnął jeszcze szczybla myśli, nie będzie się miał czego trzymać i spadnie w przepaść”.

Tylko błogosławionym dane jest zanurzyć się cicho w ciemnościach i pomóc duszy opuszczonej w wirze wędrowania, ale nawet najmniejsza z istot może uwolnić zagubione iskry i przywrócić je domowi.

Iskry można znaleźć wszędzie. Są zatrzymane w rzeczach jak w zamkniętych źródłach, schylają się w stworzeniach jak w zamurowanych jaskiniach, wdychają mrok, a wydychają przerażenie, oczekują. A te, które zamieszkują w przestrzeni, przemykają tu i tam wokół poruszeń świata jak oszalałe od światła motyle, poszukując wejścia w któryś z nich i wybawienia. One wszystkie w nadziei oczekują wolności.

„Iskra w kamieniu, w roślinie lub w innym stworzeniu jest jak całkowita postać spoczywająca w środku rzeczy

niby w bryle w taki sposób, że jej ręce i stopy nie dadzą się rozprostować, a jej głowa złożona jest na kolanach. Ten, który jest w mocy podnieść świętą iskrę, prowadzi jej postać ku wolności i nie ma miejsc wspanialszych ponad te, w których są one wolne. To jest tak, jak z królewskim synem wyrwanym z niewoli i przywróconym ojcu”.

Uwolnienie nie dokonuje się poprzez egzorcyzmy ani też poprzez żadne szczególne działanie. Wszystkie one są obce istocie *kavany*. Nie ma potrzeby przeskakiwać z codzienności w cudowność. „Każdym działaniem człowiek sprawia, że Szekina może wyłonić się z ukrycia”. Źródłem nie jest samo działanie, lecz jego przeznaczenie i ono rozstrzyga o wszystkim. Właśnie to, czego dokonuje się podczas jednostajnego powtarzania bądź w kolejnych wydarzeniach, właśnie ta odpowiedź człowieka w działaniu na rozmaite żądania chwili, odpowiedź uzyskana dzięki praktyce albo zdobyta w natchnieniu, właśnie ta ciągłość żywego strumienia prowadzi – jeżeli jest dokonana zgodnie z przeznaczeniem – do zbawienia. Kto modli się i śpiewa w świętości, je i mówi w świętości, w świętości bierze rytualną kąpiel i w świętości troszczy się o swój interes – poprzez niego upadłe iskry są wskrzeszane, a upadłe światy oczyszczane i zbawiane.

Każdego człowieka, zamkniętego wewnątrz szerokiej sfery jego działania, otacza naturalne koło rzeczy, a on powołany jest, by im pierwszym przynieść wolność. Oto są stworzenia i przedmioty, o których mówi się, że są w posiadaniu człowieka: jego zwierzęta, jego mury, jego ogród

i jego łąka, jego narzędzia i jego żywność. Tak długo jak człowiek je kocha i raduje się nimi w świętości, on czyni ich dusze wolnymi. „Dlatego człowiek zawsze musi być li-tościwym dla swoich narzędzi i wszystkiego, co posiada”. Pragnienia wolności rodzą się również w samej duszy. Większość z nich to iskry upadłe z winy duszy w jednym z jej poprzednich istnień. Są one obcymi, niepokojącymi myślami, które często przychodzą do człowieka podczas modlitwy. „Gdy człowiek stoi w modlitwie i pragnie zjed-noczyć się z Wiecznością, nawiedzają go obce myśli i wtedy to właśnie święte iskry, wcześniej upadłe, wołają do niego, są spokrewnione z korzeniami jego duszy: to swoje własne siły musi on zbawić”. Człowiek, przywracając każdą zbłą-kaną myśl jej czystemu źródłu, zbawia ją, pozwala każ- demu natchnieniu, oddanemu jakiejś szczególnej rzeczy, dopłynąć do boskiego, twórczego impulsu, pozwala, aby wszystko, co obce, zanurzyło się w rozpoznanej boskości.

Oto *kavana*, która jest otrzymywaniem: człowiek zba-wia iskry w otaczających go rzeczach, a one wyłaniają się z tego, co ukryte. Ale istnieje również inna *kavana*, *kava-na*, która jest darowaniem. Ona nie niesie żadnych zbłąka-nych promieni duszy w przepelnionych pomocą dłońmi; zaślubia różne światy i ma panowanie nad tajemnicami, wlewa się w suchą przestrzeń i oddaje się nieskończono-ści. Nie pragnie cudów. Jej ścieżką jest tworzenie i słowo przed wszystkimi innymi formami tworzenia.

Od niepamiętnych czasów mowa była dla żydowskie-go mistyka rzeczą wyjątkową i budzącą grozę. Istnieje

specjalna teoria liter, która wyjaśniając sens mowy, wyjaśnia zarazem sens żywiołów świata, a w połączeniu z tym istotę całej rzeczywistości. Słowo jest przepaścią, poprzez którą kroczy mówca. „Człowiek powinien wymawiać słowa tak, jakby rozwarte w nich było niebo. To nie jest tak, że ty chwytasz słowo swoimi ustami, ty wstępujesz w słowo”. Ten, kto zna tajemną melodię, która przenosi to, co wewnątrz, do tego, co na zewnątrz, kto zna świętą pieśń, która łączy samotne i trwożliwe litery w muzykę sfer, ten przepełniony jest mocą Boga, „a wówczas on stwarza niebo i ziemię, i wszystkie światy”. Nie odnajduje własnej sfery przed sobą, tak jak to czynią najbardziej wolne spośród dusz, lecz rozpościera ją od firmamentu po milczącą głębię. Ale on także pracuje dla zbawienia. „Každy znak zawiera w sobie trzy różne: świat, duszę i boskość. One powstają, łączą się i jednoczą ze sobą, stają się słowem, słowa jednoczą się w Bogu w pierwotnej jedni, w nich zakorzeniona jest dusza człowieka, i światy łączą się ze sobą, wznoszą się ku górze i rodzi się wielki zachwyt”. I tak oto działająca osoba przygotowuje ostateczną jedność wszystkich rzeczy. I tak jak *avoda* wpływała do *hitlahavut*, podstawowej zasady życia chasydów, tak również *kavana* wpływa do *hitlahavut*. Stwarzać oznacza być stwarzanym: boskość porusza i włada nami. Być stwarzanym to być w ekstazie: tylko ten, kto zanurza się w Nicości Nieograniczonego, otrzymuje stwarzającą moc ducha. Jest to opisane w przypowieści. Nic w świecie nie może się ponownie narodzić ani osiągnąć nowej formy, nim wcześniej nie dotrze do Nicości, to znaczy do „formy bycia pomiędzy”.

Żadne stworzenie nie może istnieć w Nicości, jest to bowiem siła działająca jeszcze przed stworzeniem i zwana chaosem. To jest tak jak z jajkiem, którego skorupa musi się rozpaść, aby wyszło pisklę, albo tak jak z ziarnem, które nie wykiełkuje, zanim nie upadnie w ziemię i nie obumrze.

„I mądrością nazwana jest myśl pozbawiona objawienia. Jest więc to tak: jeżeli człowiek pragnie, aby narodziło się z niego nowe stworzenie, musi wszystkimi swoimi siłami dotrzeć do stanu nicości i wtedy Bóg przywróci w nim nowe stworzenie, a wówczas człowiek stanie się jak fontanna, która nigdy nie wysycha, jak niewyczerpany strumień”.

Tak więc wola chasydzkiej nauki o *kavanie* jest dwojaka: radość, wewnętrzna część tego, co jest na zewnątrz, powinna istnieć w świętości, oraz stworzenie, zewnętrzna część tego, co jest wewnątrz, powinno istnieć w świętości. Poprzez święte stworzenie i poprzez świętą radość dokonana się zbawienie świata.

Tłumaczenie: Rywa i Tomasz Wolski

Rozmowa z Henrykiem Grynbergiem

Henryk Grynberg urodził się 4 lipca 1936 roku w Warszawie. Holocaust przeżył, ukrywając się na wsi i w Warszawie. W 1959 ukończył dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim. Był również aktorem Teatru Żydowskiego Idy Kamińskiej. W 1967, u progu kolejnej fali prześladowań Żydów w Polsce wyjechał z Teatrem do Ameryki. Mieszka tam do dziś. Swoje wiersze i powieści publikuje przede wszystkim w polskich wydawnictwach emigracyjnych. Pisze również artykuły do pism amerykańskich. Wywiad z Henrykiem Grynbergiem został przeprowadzony w czerwcu 1986 roku. Poniżej zamieszczamy pełną bibliografię jego książek.

Ekipa Antygona, PIW, Warszawa 1973 (opow.)
Święto korzeni, Pax, Warszawa 1964 (wiersze)
Żydowska wojna, Czytelnik, Warszawa 1965 (pow.)
Zwycięstwo, Instytut Literacki Paryż 1969 (pow.)
Antynostalgia, OPiM, Londyn 1971 (pow.)
Życie ideologiczne, PFK, Londyn 1975 (pow.)
Życie osobiste, PFK, Londyn 1979 (pow.)
Wiersze z Ameryki, OPiM, Londyn 1980 (wiersze)

Życie codzienne i artystyczne, Instytut Literacki, Paryż
1980 (pow.)

Wśród nieobecnych, OPiM, Londyn 1983 (wiersze)

Prawda nieartystyczna, Archipelag, Berlin 1984 (eseje)

Wiersze wybrane z lat 1964–1983, Warszawa 1985

Kto to są antysemita?

Są to ludzie, którzy albo pogardzają Żydami, albo żywią tylko niechęć do Żydów, są też tacy antysemita, którzy nie chcą mieć nic wspólnego z Żydami. Są tacy, którzy nienawidzą Żydów, są i tacy, którzy chętnie by ich mordowali.

Wiele piszesz o antysemityzmie polskim, o którym będziemy rozmawiać za chwilę. Zacznijmy jednak od problemu antysemityzmu na Zachodzie. W czym widzisz jego źródła i w jaki sposób ów antysemityzm jest realizowany?

Na Zachodzie obserwuje się często stronnictwo prasy, telewizji i radia. Szczególnie jest to widoczne w Zachodniej Europie, choć w Ameryce od czasu do czasu daje się to również wyraźnie zauważyć. Cóż, Izrael jest krajem zaangażowanym w rozmaite rozgrywki polityczne na Zachodzie. Wobec tego, jeśli ktoś chce uderzyć w Izrael, to próbuje czasem poprzez antysemityzm, albo od-

wrotnie – reperkusje rozgrywek politycznych z Izraelem mogą się odbijać na Żydach. Bywają też, choć sporadycznie, wypadki wandalizmu, malowania antyżydowskich haseł na synagogach, bezczeszczenia grobów żydowskich. Najbardziej bolesne dla mnie było zbezczeszczenie grobów żołnierzy żydowskich w Normandii, amerykańskich Żydów, którzy polegli w czasie drugiej wojny światowej. Zdarzyło się to w trakcie obchodów rocznicowych wyzwolenia Normandii, zdaje się w 1984 roku. Jest to obrzydliwe, bo przecież musieli to zrobić antysemita mieszkający we Francji, ludzie, za których tamci Żydzi oddali swoje życie.

Czy nie sądzisz, że musiała być tego jakaś konkretna przyczyna?

To jest tak samo, jak ze zdobywaniem Mount Everestu. Dlaczego zdobywa się Mount Everest? Bo Mount Everest jest. Dlaczego się bezcześci groby żydowskie? Bo one tam są. Dlaczego jest się antysemitą? Dlatego, że Żydzi są. Można być również antysemitą, tak jak to się dzieje w wypadku Polaków, nawet gdy Żydów nie ma. Ale to już jest inna sprawa.

Czy uważasz, że w Ameryce mogą się w najbliższych latach ujawnić nastroje antysemickie?

No cóż, w Ameryce nastroje antysemickie pojawiają się od czasu do czasu. One były znacznie silniejsze przed wojną i w czasie wojny, zanim dowiedziano się, co stało się z Ży-

dami w Europie. Potem się to radykalnie zmieniło. W tej chwili ja nie wierzę, by antysemityzm w Ameryce mógł powrócić do swojego przedwojennego kształtu.

Pewne stereotypy pokutują w tradycji zachodnioeuropejskiej i stamtąd zostały przeniesione do Ameryki. One przemawiają tylko do najgłupszych elementów w społeczeństwie. Nie sądzę, aby to był istotny problem. Prawdą jest, że słyhać czasami głosy antysemityczne, są to jednak skrajne opinie. Amerykanie nie są jednak przyzwyczajeni do tego rodzaju myślenia.

Co mógłbyś powiedzieć o konfliktach żydowsko-murzyńskich w Ameryce?

Tak, to jest bardzo charakterystyczne. Żydzi i Murzyni byli sojusznikami w okresie walki o prawa obywatelskie Murzynów. Większość aktywistów białych, wspomagających Murzynów w ich walce, stanowili Żydzi. Teraz, kiedy już Murzyni nie potrzebują pomocy Żydów, świadomie zapominają o wspólnej przeszłości, natomiast do głosu dochodzi hołota. No cóż, antysemityzm staje się narzędziem w rękach hołoty.

Czy możemy wrócić teraz do problemu źródeł antysemityzmu? Często piszesz o tym, że chrześcijańska postać antysemityzmu doprowadziła do zbrodni niemieckiej w okresie ostatniej wojny. Czy nie sądzisz, że jest to zbyt ciężkie oskarżenie? Antysemityzm jest przecież starszy od chrześcijaństwa, a faszyzm

niemiecki wyrósł na XIX-wiecznych koncepcjach rasowych, które raczej niewiele mają wspólnego z chrześcijaństwem.

Rzeczywiście – antysemityzm, czy raczej antyjudaizm istniał, zanim powstało chrześcijaństwo, ale chrześcijaństwo przeniosło tę tradycję, przenieśli ją starożytni Grecy, którzy zostali chrześcijanami. Nie jest to mój oryginalny pogląd, jest on podzielany przez większość autorów piszących o tych sprawach, w dużym stopniu przez chrześcijan. Chrześcijaństwo jest oczywistym, głównym źródłem antysemityzmu. Hitleryzm zaczerpnął antysemityzm z tradycji, które istniały w Europie. Jest element religijny w antysemityzmie hitlerowskim. Przecież nie można było tego nazwać antysemityzmem politycznym, to był obłądny antysemityzm, nie mający żadnego uzasadnienia politycznego, nie przynoszący żadnych korzyści politycznych; antysemityzm zmierzający do wymordowania wszystkich Żydów na świecie. Jest w tym coś eschatologicznego i wynika to z tradycji chrześcijańskiej, która do czasu II Soboru zmierzała do likwidacji Żydów; niekoniecznie do likwidacji biologicznej, przede wszystkim do likwidacji religijnej – Żydzi nie mieli prawa istnieć. Nawracanie Żydów w imię ich zbawienia również było pewnego rodzaju eksterminacją. Tak więc ta tradycja istniała, Niemcy zaś doprowadzili to do skrajności, bo doprowadzili do eksterminacji biologicznej. Chrześcijanie zmierzali tylko do eksterminacji ducha.

Nawracanie jest przesłaniem.

Tak, ale większym osiągnięciem było nawrócenie Żyda; poganin był traktowany jako ktoś neutralny, natomiast Żyd – jako przeciwnik religijny, co oczywiście było nonsensem z teologicznego punktu widzenia i Kościoła to w tej chwili przyznają. Żydzi byli przeciwnikami Kościoła tylko wtedy, kiedy stawali się ofiarami Kościoła. Przecież etyki chrześcijańska i żydowska są bardzo zbliżone.

Wróćmy do Holocaustu.

W działaniu hitlerowców było wiele improwizacji. Holocaust nie był akcją z góry zaplanowaną i metodycznie przeprowadzaną, dowodzą tego współczesne badania historyczne. Hitler ze swoim morderczym instynktem postanowił najpierw pozbyć się Żydów z Niemiec, później z Europy; gdy zobaczył, że udaje mu się mordować Żydów, wpadli na pomysł wymordowania wszystkich Żydów na świecie. Mogę sobie wyobrazić, że gdy Hitler napadł na Polskę w 1939 roku, owe trzy miliony Żydów za miedzą stanowiły dla niego główną pokusę. Zdecydował zamknąć tych Żydów w gettach i zastanawiał się nad tym, co z nimi zrobić; myślał o deportacji Żydów do Palestyny czy na Madagaskar. Kiedy jednak stanął w obliczu możliwości wojny z Rosją, doszedł do wniosku, że gdy znajdzie się w Rosji, będzie miał jeszcze więcej tych swoich domniemyanych wrogów. Uważał on Żydów sowieckich za groźną siłę polityczną. Uważał, że mają oni poważne wpływy w Związku Sowieckim i jeśli ci Żydzi znajdą się w obozie jego wrogów, będą mścić się za jego

prześladowania Żydów niemieckich czy polskich. Wobec tego zaczął od mordowania Żydów w Rosji Sowieckiej, od Babiego Jaru w 1941 roku. Przekonał się, że jest to możliwe, że nie ma żadnej reakcji na świecie i że rzecz całą można dostatecznie dobrze ukryć albo, jeśli nawet nie uda się tego ukryć, to nie będzie żadnego buntu ze strony ludności miejscowej. Wtedy chyba doszedł do wniosku, że w ten sam sposób może rozwiązać tak zwany problem ludności żydowskiej w Polsce. Jest w tym jakaś obłądna logika i myśląc ex post, dochodzę do wniosku, że jednym z głównych motywów napaści na różne kraje mogła być właśnie ta jego mania likwidacji Żydów.

Porozmawiajmy teraz o polskim antysemityzmie. Wielu twierdzi, że jest on cechą narodową Polaków, są jednak tacy, którzy uważają go za przeciętny. Jakie jest Twoje zdanie?

Wiele razy pisałem, że antysemityzm polski nie jest ani większy, ani agresywniejszy niż w innych krajach europejskich. Ma być może pewne swoje cechy charakterystyczne. Najbardziej dotyka mnie w polskim antysemityzmie stosunek Polaków do Żydów po drugiej wojnie światowej: 1946 rok w Kielcach, wypadki mordowania Żydów przez podziemie, przejawy antysemityzmu w dzisiejszej Polsce. Gdy jednak myślę o drugiej wojnie światowej, dochodzę do wniosku, że Polacy nie zachowali się gorzej, czasami zachowywali się nawet lepiej niż inne społeczeństwa europejskie. Myślę, że Francuzi mają gorszą kartę w tym wypadku. W okresie powojennym Polacy zachowują się

o wiele gorzej. Polski antysemityzm współczesny wydaje mi się wstrętniejszy poprzez fakt, że rozgrywa się na największym cmentarzu żydowskim.

Tak, ale pamiętajmy o tym, że wszystkie akcje antysemitki organizowane w Polsce powojennej były pomysłami rządzących w kraju komunistów. Prawdą jest, że znajdowali się tacy, którzy podchwytywali te koncepcje, ale to była ta hołota, o której sam wspominałeś wcześniej. Obwinianie całego narodu...

Nie, nie ma mowy o obwinianiu całego narodu. Nigdy nie można obwiniać całego narodu.

Cóż, w takich rozmowach z reguły stosuje się pewne uproszczenia, które do takich wniosków prowadzą.

Daleki jestem od takich wniosków i cały czas mówię tylko o przejawach antysemityzmu, niezależnie od tego, kto jest tego sprawcą.

Taki właśnie aspekt wydaje mi się bardzo istotny.

Komuniści to też są ludzie i jeśli są Polakami, to jest to istotne. Komuniści to my. Hitlerowcy to my. Są to przecież ludzie, którzy noszą w sobie większość tych samych wartości, które mamy wszyscy. Sojusz rządzących w Polsce z Sowietami to tradycja endecka, antysemityzm też jest tradycją endecką. Endecja jest natomiast bardzo typowym, autentycznym ruchem polskim.

Komunistom w Polsce można na pewno zarzucić to, że nie są oni właściwą reprezentacją narodu polskiego, bo po pierwsze, nie byli oni nigdy przez ten naród wybrani, a po drugie, propagują idee obce temu narodowi.

Ci komuniści to są endecy w czerwonym przebraniu, a ich ideologia jest ideologią endecką, nie mającą nic wspólnego z ideologią komunistyczną lat przedwojennych, w kwestii antysemityzmu nie zgadzam się na rozróżnienie antysemityzmu władzy i antysemityzmu społeczeństwa. Choć istnieje konflikt między władzą a społeczeństwem, to bardzo często mamy do czynienia z płaszczyznami porozumienia władzy i społeczeństwa, jak na przykład w wypadku nienawiści do Niemców.

Myślę, że jest to błędna ocena.

Jeśliby przyjąć, że „Tygodnik Powszechny” jest głosem społeczeństwa polskiego, to zaskakujące wydają się opinie, sformułowania dotyczące Żydów. Nawet komuniści nie pozwalają sobie na przypisywanie pewnych negatywnych cech Żydom. Komuniści będą mówili o brzydkich skłonnościach Żydów wynikających z ideologii syjonizmu, o tradycjach kosmopolityzmu, o lichwiarzach, krwiopicach, bankierach. Nigdy jednak nie powiedzą o brzydkich cechach narodowych Żydów. Nie mówi się tego ani w Związku Sowieckim, ani nawet w „Żołnierzu Wolności”.

Powiedz dokładnie, o jakim artykule myślisz.

Na przykład artykuł podpisany przez panią Grześkowiak, pod tytułem *Proces Chrystusa*, który ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” przed Wielkanocą 1986 roku. W odpowiedzi na ten artykuł napisałem list, bardzo łagodnie sformułowany, w którym dałem do zrozumienia, że artykuł ten dotknął mnie boleśnie. List mój nigdy nie został zamieszczony, natomiast została zamieszczona krótka notatka pod tytułem *Niefortunne sformułowanie*; notatka, która niczego nie wyjaśnia. Gdyby coś takiego stało się w Ameryce, gdyby ktoś obraził jakąś grupę etniczną w jakimś piśmie, redakcja tego pisma musiałaby oficjalnie ich przeprosić. W Polsce widocznie redakcja uważała, że nie jest to konieczne. Dzisiejszy antysemityzm w Polsce jest o wiele bardziej irracjonalny niż gdziekolwiek na świecie, gdyż Polacy nie mają żadnych konfliktów z Żydami. Więc jeżeli słyszy się wypowiedzi antysemickie na największym cmentarzu żydowskim, to jest to po prostu bardzo nieprzyzwoite. Myślę, że Polacy w Polsce powinni zachować pełne godności milczenie. Społeczeństwo polskie, niestety, ma wspólną tradycję z rządami komunistycznymi w kwestii nienawiści do Żydów.

Czy tak, jak powszechnie mówi się o polskim antysemityzmie, można mówić o żydowskiej antypolskości?

Nie można tego porównywać.

Czy według Ciebie istnieje taki problem – nazwijmy go umownie żydowską antypolskością?

Owszem, istnieje coś takiego. Wśród Żydów funkcjonuje nawet takie powiedzenie szablonowe: „Niech się Polska spali”. Jest to rodzaj przekleństwa związanego z miejscem. Wynika to z zasady *guilt by association*.

Dlaczego nie ma powiedzenia: „Niech się Niemcy spalą”?

Na tym polega nieszczęście. Cóż, ludzie nie postępują w sposób racjonalny. Nie ma tej właściwej racjonalizacji, zapomina się o tym, że to Niemcy byli mordercami.

Czym był dla Ciebie 1968 rok?

1968 rok był przypomnieniem tego, co się działo 30 lat wcześniej w Polsce. Było to szokujące dla Żydów, którzy pamiętali ostatnie lata przedwojenne. Dla mnie osobiście był to wielki szok psychiczny. To był ten moment, kiedy oderwałem się od Polski, nie tylko w sensie fizycznym, ale również wewnątrz. Myśląc o sobie, zawsze musiałem pamiętać o pewnych zastrzeżeniach co do mojej tożsamości. Byłem przecież trochę to, trochę tamto, nie całkiem to i nie całkiem tamto. Gdy mnie Polacy traktowali jako Polaka, sam siebie uważałem za Polaka. W 1968 roku jednak poczułem ogromny dystans i nigdy nie udało mi się, a właściwie nie próbowałem nawet tego zmienić. Czułem się tak, jak gdybym wziął rozwód. Prowokacja

była oczywista, pochodziła od kół rządzących bądź od tych, którzy do władzy chcieli się dorwać. Choć z drugiej strony zawsze są ci, którzy dają się sprowokować. Zarówno grupa Gomułki, która była u władzy, jak i grupa Moczarowska, która chciała się tam dostać, uważały, że mogą konkurować o to, kto jest większym antysemitą. Wykazując swój antysemityzm, liczyli na popularność. Charakterystyczne jest to, że społeczeństwo polskie nie protestowało wówczas przeciwko temu, co robiono z Żydami; wyrzucano ich z pracy, z mieszkań, wyrzucano ich przecież z kraju.

Czy zgodziłbyś się ze stwierdzeniem, że współczesny polski antysemityzm jest zjawiskiem nieuświadomianym sobie przez Polaków, i jeśli mówimy o typie polskiego antysemityzmu z końca lat 80., możemy przyjąć, że nie jest on swej cechy świadom?

Mogę się zgodzić na takie sformułowanie. Ale jeśli tak jest, to czas najwyższy, aby Polacy sobie to wreszcie uświadomili. Zastanawiam się nad tym, czy potrzebny jest ów dialog polsko-żydowski, ostatnio tak intensywnie prowadzony. Myślę, że Żydom on nie jest potrzebny, bo Żydzi nie mają niczego do uzyskania w Polsce ani u Polaków. Już wszystko stracili, więc o co właściwie jeszcze chodzi? Mam bardzo często wrażenie, że w tych rozmowach Polakom chodzi o wynegocjowanie czegoś, wydaje mi się to trochę nieprzyjemne. To tak, jakby negocjowano ze zmarłymi. Ważne jest, aby Polacy zaczęli sprzeciwiać się antysemitycznym wystąpieniom, na przykład w polskiej

prasie. Takie wystąpienia przeciwko przejawom antysemityzmu będą dowodem na to, że Polacy nie są antysemitami. Bo kiedy tylko antysemita mówi o Żydach, wniosek jest prosty.

Czas chyba na ostatnie pytanie z serii pytań o antysemityzm. Czy Henryk Grynberg jest sprawiedliwy? Czy na przykład w *Prawdzie nieartystycznej* prowokujesz do dyskusji, czy też oskarżasz?

Tego, czy jestem sprawiedliwy, nie wiem. Ja nie tyle oskarżam, co skarżę się. Skarżę się na to, co widziałem, na to, co widzę, co słyszę, na to, co przeżyłem... Staram się być sprawiedliwy i w moim przekonaniu jestem. Oczywiście, że mogę się mylić. Jeśli w przyszłości stwierdzę, że się pomyliłem, będę swoje sądy korygował. Cóż, mnie z jakiegoś powodu bardzo zależy na tym, aby Polacy nie uchodzili za antysemitów. Dlaczego mi na tym zależy – nie wiem. Ale tak jest. Za każdym razem, kiedy widzę dowody antysemityzmu, to nie tyle mnie to oburza, co odczuwam to jako swoją osobistą porażkę. Przecież w swoich tekstach staram się wykazać, do jakiego stopnia Polacy mogą być niewinni, do jakiego stopnia są ofiarami okoliczności i w jakim stopniu ich postawa jest wynikiem wielowiekowej tradycji, której wpływom ulegali. Jeśli zostali antysemitami, to zostali nimi z takich samych pobudek, dla których i inne narody uległy antysemityzmowi. Antysemityzm polski wcale nie był gorszy, o czym przecież piszę, od antysemityzmu innych narodów. Nie mogę się pogodzić

z przejawami antysemityzmu obecnie – to przecież nie ma sensu.

Spróbujmy teraz uwolnić się od naszej polsko-żydowskiej choroby. Jakie jest Twoje pierwsze imię? Imię żydowskie? Dlaczego nigdy do niego nie powróciłeś?

Kiedy byłem małym chłopcem, kiedy mówiono do mnie po żydowsku, nazywano mnie Hersz. Nazywali mnie tak dziadkowie i ciotki. Mama tak do mnie nie mówiła, ponieważ ona zawsze mówiła do mnie po polsku. Nie powróciłem do tego imienia, ponieważ dla mnie moim imieniem było imię, którym wołała mnie matka. Zresztą musiałem mieć imię Henryk w czasie okupacji, gdy miałem fałszywe papiery. To imię pozostało mi później w dokumentach.

Później, gdy przyjechałeś do Ameryki, gdy oderwałeś się od Polski, czy nie myślałeś o zmianie imienia?

Zmieniłem je na Henry, cha, cha.

W swoich tekstach, mówiąc o wyjeździe z Polski, podajesz dwie przyczyny – kłopoty z cenzurą i atmosferę antyżydowską...

Moja sytuacja była bardzo szczególna. Ja nie byłem pisarzem, którego prześladowano. Tylko tyle, że w 1967 roku, skreślając fragmenty opowieści *Buszujący po drogach*,

dano mi do zrozumienia, że nie będę mógł więcej pisać tego, o czym pisałem dotychczas. Skreślane fragmenty dotyczyły losu żydowskiego. Zrozumiałem wtedy, że nie pozwolą mi być sobą. I dlatego zrozumiałem, że nie ma sensu, bym dłużej pozostał w Polsce. Cóż, od wielu lat wiedziałem, że życie w Polsce nie jest łatwe dla pisarza Żyda. Uważałem, że tam jest moje miejsce, miejsce mojej polszczyzny, że tam mam swoich czytelników. Tam też chciałem zostać. Gdybym wówczas pozostał w Polsce, teraz byłoby jeszcze gorzej. Dziś jest o wiele trudniej być pisarzem żydowskim w Polsce, trudniej niż w 1967 roku.

Dlaczego? Przecież dziś w Polsce mógłbyś drukować w podziemiu. Mimo że nie mieszkasz w Polsce, Twoje teksty ukazują się w pismach niezależnych.

Hm, no tak. Ja wyjechałem z Polski przede wszystkim dlatego, że byłem Żydem. Cenzura była chyba mniejszym powodem. Nigdy nie żałowałem tego, że wyjechałem. Kiedy w 1968 roku wyobrażałem sobie, że mógłbym być w Polsce, ogarniało mnie przerażenie. Wydawało mi się, że nigdy tego bym nie wytrzymał. Pewnie gdybym nie był Żydem, zostałbym w kraju.

Czy czujesz się w jakiś sposób związany z amerykańskim żydostwem?

W jakiś sposób tak; choć różnimy się bardzo. Właściwie nie wiem dokładnie, gdzie należę. Czuje się jednak bardzo

związany z Ameryką i uważam się za Amerykanina w tym samym stopniu, w jakim uważam się za Żyda czy Polaka. Miejsce urodzenia nie ma tak wielkiego znaczenia. Najważniejsza jest kultura – kultura, w której się wyrasta, bądź kultura, którą się adaptuje. Wyrosłem w kulturze polskiej, większość życia spędziłem w kulturze amerykańskiej, a kultury żydowskiej, której mnie pozbawiono, douczam się jak mogę.

Czy umiałbyś powiedzieć, która z tych trzech kultur jest Ci najbliższa?

Zależy kiedy. Kiedy piszę, to jestem przede wszystkim Polakiem, często bywam jednocześnie Polakiem i Żydem. Jestem pisarzem polsko-żydowskim. Jako „cywil” jestem stuprocentowym Amerykaninem.

Co znaczy być Żydem dzisiaj?

To jest za trudne pytanie dla mnie. Ale... dzisiaj to jest to samo co kiedykolwiek przedtem, w przeszłości. Zresztą dla każdego Żyda może to oznaczać coś innego. Dla Żyda religijnego to znaczy wierzyć w żydowskiego Boga, przestrzegać praw i rytuałów. Dla Żyda izraelskiego to znaczy pamięć ziemi żydowskiej, jego kraju. Dla Żyda w Rosji Sowieckiej to znaczy bronić resztek swojej tożsamości. Różne to może mieć znaczenie dla Żyda amerykańskiego. Dla mnie być Żydem oznacza odziedziczyć los po swoich rodzicach i starać się jak najlepiej ten los znieść. Dla mnie to również oznacza przyjęcie postawy obronnej. Od czasów

zagłady nie mogę się w żaden sposób wyzbyć poczucia zagrożenia.

Czytałeś wywiad z Markiem Edelmanem. Czy mógłbyś powiedzieć, z którymi wypowiedziami Marka nie zgadzasz się?

Nie zgadzam się z jego stosunkiem do syjonizmu, nie zgadzam się z jego analizą stosunków przedwojennych pomiędzy Żydami. Jego pogląd na państwo żydowskie i na sytuację Izraela jest, moim zdaniem, błędny. No cóż, w tych kwestiach Marek pozostał bundowcem. Nie zgadzam się również z jego pesymistycznymi wypowiedziami na temat życia. Nie zawsze wygrywa silniejszy siłą fizyczną. Jak wiadomo, przewaga duchowa bardzo często wygrywa. Ruch solidarnościowy jest tego dowodem. Po 1968 roku uważałem, że społeczeństwo polskie jest całkowicie zdemoralizowane, ale później, gdy obserwowałem z Ameryki „Solidarność”, bardzo mi to zaimponowało. Uważam, że stał się cud, że taki duch mógł się w Polsce odrodzić. Zawsze jest nadzieja. Być może teraz jest okres załamania, po którym może nastąpić ponowne odrodzenie.

Czy drażnił Cię katolicyzm „Solidarności”?

Nie, stanowczo mnie nie drażnił. Czasami mnie trochę śmieszył. Mnie się wydaje, że „Solidarność” troszeczkę zrodziła się z katolicyzmu. „Solidarność” nigdy nie była dla mnie ruchem robotniczym, to raczej ruch narodowy.

Polaków bardzo jednoczy katolicyzm, przynajmniej w dzisiejszych granicach polskich.

Do jakich czytelników adresujesz swoje książki, a jacy je czytają?

Zdaję sobie sprawę z tego, że adresuję swoje książki przede wszystkim do czytelników polskich, niezależnie od tego, czy mieszkają w Polsce, czy poza jej granicami. No i oczywiście czytają mnie przede wszystkim czytelnicy polscy, czytelnicy nieżydowscy. Czyta mnie wielu Żydów, którzy znają język polski i czytają książki. Czytają mnie ludzie mojego pokolenia, choć to pokolenie jest bardzo nieliczne. Zwracam się również do czytelników niepolskich, do Żydów i Amerykanów, kiedy drukuję swoje artykuły w prasie. Często piszę o sprawach polskich i żydowskich, o historii i literaturze polsko-żydowskiej i tak dalej.

Czy jesteś znanym pisarzem wśród czytelników amerykańskich?

W bardzo nieznacznym stopniu. Jestem przede wszystkim znany poprzez swoje artykuły w prasie amerykańskiej.

Czy Twoje książki są tłumaczone?

Tylko jedna książka została przetłumaczona na kilka języków, między innymi na język angielski, i wydana

w Anglii. Jest to Żydowska wojna. Ukazała się też w hebrajskim, niemieckim, holenderskim. Po francusku była drukowana w odcinkach w prasie. Niektóre moje opowiadania ukazały się w tłumaczeniu na parę języków, między innymi na angielski. Niektóre moje wiersze ukazują się tu i ówdzie po angielsku. Dotychczas przeważnie tłumaczył mnie Richard Lurie. Czasem udaje mi się samemu przetłumaczyć własny wiersz.

Czy Twoje książki są znane w Izraelu?

Niektóre. Ciekawa rzecz, wśród czytelników polskich jestem chyba bardziej znany jako prozaik niż poeta. Natomiast w Izraelu – odwrotnie. Tam przede wszystkim znają moje wiersze po polsku bądź po hebrajsku. Mój wybór wierszy ukazał się w Izraelu w 1985 roku. Często drukują mnie w prasie.

Jakie masz plany pisarskie?

Mam zamiar w najbliższym czasie napisać rzecz, która nie będzie miała nic wspólnego z moją biografią. Ma to być sztuka teatralna opowiadająca o zagładzie Żydów w wymiarach całkowicie uniwersalnych. Będzie to dotyczyło całej cywilizacji, taki mikrokosmos całej cywilizacji. Ci Żydzi, którzy będą tam zgromadzeni, będą bardzo różni, łączyć ich będzie tylko żydowski los.

Jak powstała Twoja, do tej pory jedyna nieżydowska książka, *Życie codzienne i artystyczne*?

To jest biografia z lat dzieciennych i lat dorastania kobiety, którą znałem i która mi to opowiadała. Interesowała mnie ta tematyka przede wszystkim ze względu na równoległość naszych losów.

Jakich polskich autorów czytasz najchętniej?

Miłosz, Herbert, Strykowski, Kazimierz Brandys. Książki Strykowskiego są mi najbliższe jako czytelnikowi, a nie jako pisarzowi; kulturowo są mi najbliższe. Wzruszają mnie i przejmują bardzo. Poza tym bardzo lubię prozę Vincenza, która jest chaotyczna i nieuporządkowana. Wiele z jego tekstów nie było przecież przygotowanych do wydania.

Kim jesteś bardziej – poetą czy pisarzem?

Tego się nie da zupełnie rozdzielić. Moja proza jest takim samym procesem twórczym, jak poezja. Nie mogę sobie wyobrazić pisania prozy, która nie byłaby poezją. W tej prozie jest kadencja, jest rytm, jest specjalny dobór słów. Obrazy są wywoływane i zamykane w jakiś określony, muzyczny sposób. Moja proza jest formą poezji. Czasami pisarzom wydaje się, że można nie być poetą, a być prozaikiem. To jest nieprawda. Dobrym prozaikiem może być tylko poeta.

W *Humanum est* piszesz: „...i prorocy z nieba kiwają ciężkimi Żydowskimi głowami, / że w czarnolesie im się zagubiłem / na wieki wieków amen”. Żydostwo jest

Twoją pierwszą ojczyzną czy polskość? Kulturę polską uznajesz za drugą?

Jestem skutkiem może jakiegoś nieporozumienia, może jakiegoś przypadku, który czasem wydaje mi się interesujący, a czasem nieszczęśliwy. Elementy polskie i żydowskie czasem się mieszają z sobą, czasem jeden z nich dominuje. Jest to los niełatwy, często jest mi z tym trudno. Czasem swój los przeklinam, czasem wydaje mi się, że już dłużej tego nie zniosę. Czasem wydaje mi się, że moje życie jest zupełnie przekreślone, bo nie widzę żadnego dobrego wyjścia z sytuacji. Ten przypadek, który mnie rzucił do Czarnolasu, który zrobił ze mnie polskiego poetę w najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach... Dlaczego nie jestem wyłącznie polskim poetą, dlaczego nie jestem wyłącznie Żydem? Mam sobie za złe to, że nie jestem całkowicie Żydem. Ci prorocy, którzy kiwają głowami w Humanum est, to mój rodzaj samooskarżenia. Mam pełne poczucie winy wobec nich, bo nie żyję tak, jak powinien żyć Żyd. Tak, jak by mnie sobie wyobrażał mój dziadek.

Jak oceniasz rolę wydawnictw niezależnych w Polsce?

Jest to zjawisko niezmiernie ważne. Mnie się zdaje, że po latach, jeśli sytuacja pozostanie taka, jaka jest, to cała historia literatury polskiej będzie odczytywana na podstawie wydawnictw podziemnych, a nie na podstawie oficjalnego obiegu, który jest na bardzo niskim poziomie.

Rozmowa z Henrykiem Grynbergiem

Czy chciałbyś coś jeszcze powiedzieć?

Nie mam wiele do powiedzenia, mam jeszcze coś do napisania może.

Dziękuję.

Tenebrae ex Oriente. Nad powieścią Conrada *W oczach Zachodu*

Marian Dźwiniel

Joseph Conrad, *W oczach Zachodu*, przekł. W. Tarnawski, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1985, ss. 240.

Jedna z najmniej znanych powieści Józefa Korzeniowskiego – Josepha Conrada: *W oczach Zachodu* (Under Western Eyes) – miała swoje szczególne i raczej zagadkowe losy w Polsce powojennej. W rozprowadzanych drogą subskrypcji *Dzielałach* – pierwszym wydaniu zbiorowym – figuruje jako tom dwunasty. Wygląda na to, że tom ten nie dotarł do wszystkich biblioteki. Można go na przykład znaleźć w Bibliotece Głównej UAM, ale już karta katalogowa biblioteki Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk zastanawia pustym miejscem tam, gdzie powinien być zapis książki. (Tak przynajmniej było jeszcze pod koniec listopada 1985 r.).

Biblioteka Publiczna im. Raczyńskiego taką rejestrację katalogową posiada, widocznie jednak została ona dokonana w innym czasie niż opis tomu poprzedzającego i następującego, gdyż wyróżnia ją nie tylko inny kolor atramentu, ale i jakby jego świeżość i cała pusta linijka, zdradzająca wcześniejszą rezerwację miejsca. Niewyjaśniona jest również nieobecność jakichkolwiek omówień prasowych dzieła w ciągu prawie pięciu lat, licząc od daty ukazania się *W oczach Zachodu* – 1974 roku. Roczników „Bibliografii Zawartości Czasopism” po roku 1978 nie przeglądałem, ale trudno wyobrazić sobie recenzję zamieszczoną później niż pięć lat od momentu ukazania się tekstu recenzowanego. Czyżby jedno z fundamentalnych dzieł wielkiego pisarza nie przyciągnęło uwagi krytyków? A może artykuły proponowane były do publikacji, lecz na przykład pewien niesławnej pamięci nieboszczyk uznał je za perfidnie pomyślane bomby z farby drukarskiej, eksplodujące w kontakcie z okiem czytelnika?... Jakakolwiek odpowiedź w tej chwili nie jest możliwa. Jest natomiast faktem, że po edycji łódzkiej w 1985 roku co najmniej jeden krytyk – Gondowicz – zdążył do jesieni tego roku opublikować swą wypowiedź o utworze w „Przeglądzie Katolickim”. Nie ulega też tym razem wątpliwości realność znalezienia się książki na rynku czytelnicznym: co najmniej kilka miesięcy czekała na nabywcę w księgarniach wielu miast. Pięćdziesiątysięczny nakład – w przeciwieństwie do częściowo bodaj niematerialnych 20 tysięcy sprzed lat 11 – najpewniej zaspokoił popyt.

Powieść, pierwotnie zamierzona jako nowela pod tytułem *Razumow*, pisana była ponad dwa lata, w bólu psychicznym

i fizycznym, w napięciu, które nawet jak na Conrada, wciąż przeżywającego podobne stany, było zbyt wyczerpujące i być może zaważyło w sposób istotny na dalszych losach pisarskich autora. Conrad, ukończywszy dzieło na początku 1910 roku, zapłacił za nie atakiem półrocznej ciężkiej choroby. Zapadanie na zdrowiu z reguły zdarzało się, jak twierdzi chyba najbardziej miarodajny biograf pisarza, Zdzisław Najder, z przyczyn psychosomatycznych.

Niektórzy badacze wyrażają opinie, że *W oczach Zachodu* stanowi zamknięcie wielkiego okresu twórczego w życiu artysty. Nie czuję się uprawniony do potwierdzenia lub zaprzeczenia tej tezie.

Czym jest ten niepospolity, obszerny (zależnie od wydania: od ok. 230 gęstego druku do ponad 400 standardowych stron) utwór, tak szczególne miejsce zajmujący w życiu i dorobku posępnego rewelatora ludzkiego losu? Można by w powieści wyodrębnić dwa podstawowe plany: moralno-psychologiczny z centralną postacią Razumowa i plan ze skomplikowanym tematem psychologii Rosjan jako narodu i zbiorowego podmiotu dziejów. Już same te pojęcia zwiastują rozległość i bogactwo refleksji. Ktoś bardziej oddalony od twórczości angielskiego Polaka mógłby się zdziwić obecnością takich spraw pod piórem byłego marynarza, którego opowieści popularny stereotyp wyprowadza z doświadczeń oceanicznego tropiku. Nie od rzeczy więc będzie przypomnieć, że Conrad tematykę związaną z morzem oceniał na dzieśnięć procent swego pisarstwa i zżymał się na co bardziej

prostodusznych czy ograniczonych krytyków, usiłujących go „wygnać na środek oceanu” – jak pisał w jednym z listów.

Natomiast do podjęcia problemów wypełniających powieść *W oczach Zachodu* autor Autokracji i wojny był jak mało kto powołany.

Nie można się przecież temu dziwić, gdy się uświadomi, że poprzez tragiczne dzieciństwo Józefa Konrada Korzeniowskiego Rosja w gruncie rzeczy zdeterminowała całe jego życie. To zesłańcza Wołogda i Czernihów pochłonęły matkę chłopca, który wkraczał zaledwie w ósmy rok życia, to biała i krótko zielona zima – bo tylko ta pora roku bywa na ponurej północy – zmroziła siły żywotnego ojca, Apolla Korzeniowskiego. I to wszystko za zrzędzeniem jednego z najbardziej bezdusznych despotyzmów, jakie istniały na naszej planecie. Dodajmy, że ten despotyzm usiłował nawet na odległość utrzymywać emigranta choćby w dalekiej zależności: Conrad parę lat musiał zabiegać (tak!) o zwolnienie z poddaństwa rosyjskiego (było „poddaństwo”, nie: „obywatelstwo”...). Łaskawie pozytywna odpowiedź na podanie „syna polskiego litieratora – kapitana angielskiej floty” została udzielona 15 lat po wyemigrowaniu Korzeniowskiego z Polski. Wkrótce też syn Kresów miał powody nazywać urzędników rosyjskich placówek konsularnych w Anglii „łotrami” i „piratami”, ci bowiem z tępym uporem wzbraniali się zbyt długo przed udzieleniem wizy chętnemu do odwiedzenia krewnych na Ukrainie oficerowi marynarki handlowej.

Rosja trafiła do Korzeniowskiego nie tylko poprzez zbole-
łe serce straszliwie skrzywdzonego dziecka. Są podstawy
do przypuszczeń, że w młodości początkujący marynarz
próbował intelektualnie ogarnąć monstrualny problem.
Zadawał więc sobie pytanie – jak zdaje się wynikać z li-
stów wuja Bobrowskiego – na przykład o szanse pansla-
wizmu. Wuj, choć żył w nienaruszonej zgodzie z urzęd-
nikami imperium, gardził tym, co jego szwagier, a ojciec
Józefa nazywał „współczesnym wcieleniem azjatyckiego,
tataro-bizantyjskiego barbarzyństwa”, i skutecznie wy-
perswadował siostrzeńcowi złudzenia, wskazując na nie-
uchronność hegemonistycznych dążeń Rosji we wszelkich
formach „wszechsłowiańskości”. Odtąd refleksja o spra-
wach rosyjskich będzie się u Conrada tylko pogłębiać,
sądy zaś – zaostrzać. Z gwałtownym wzburzeniem reago-
wał pisarz na ignoranckie wzmianki niektórych krytyków
angielskich o jego „słowiańskości”, gdyż pojęcie to w od-
czuciu byłego zesłańca implikowało związek z pierwiast-
kiem rosyjskim, temu zaś Conrad zdecydowanie i z pasją
przeciwstawiał polskość w ogóle i polskość własną.

Jak dalece kwestie rosyjskie absorbowwały energię inte-
lektualną pisarza, świadczy fakt, że w *Autokracji i wojnie*
z 1905 roku, „najobszerniejszej i najambitniejszej wypo-
wiedzi politycznej” Conrada (określenie Najdera), mają-
cej być czymś w rodzaju przeglądu polityki europejskiej
po 1815 roku – połowę miejsca poświęcił autor złowro-
giej mechanice i roli samodzierżawia i stosunkowi do
niego Rosjan. Oddajmy głos biografowi: „Państwo rosyj-
skie przedstawił [Conrad – M.D.] jako miążdzące podda-

nych monstrum, pozbawione historycznych uzasadnień i możliwości ewolucyjnego rozwoju [...]. Zaskorupienie państwa carów sprawiało, że Conrad uważał jego upadek za nieuchronny: Dla Autokracji Świętej Rosji jedyną możliwą samoreformą jest – samobójstwo. Przepowiadał rychły wybuch rewolucji, ale brak tradycji demokratycznych i ciemnota mas powodowały niewiarę w jej uzdrowicielskie działania. A chociaż stwierdzał wyraźnie, że nie wini samych Rosjan za brutalne okrucieństwo ich losu, odnawiał im, ze względu na tragiczną wyjątkowość politycznej spuścizny, na szczególność rosyjskich tradycji intelektualnych, moralnych i ustrojowych, zabierania głosu w sprawach ogólnoludzkich¹. Szczególną niechęć, ba: odrazę – musiały wywołać u Conrada postawy ludzi nieprzeciętnych, a ulegających czadowi, na przykład Dostojewskiego: „Wiele najwybitniejszych umysłów Rosji, po bezowocnej walce ze złym urokiem, padało na kolana przed beznadziejnym despotyzmem, jak człowiek pod wpływem zawrotu głowy skacze w przepaść” (*Autokracja i wojna*). Dostojewski zresztą jako pisarz, podobnie jak Tołstoj, odpychał Conrada także z innych powodów – ale byłby to temat na osobny artykuł, znamienne w każdym razie, że Rosjanin-Europejczyk, Turgieniew, za narodowy charakter twórczości pozyskał uznanie i sympatię syna zesłańców.

Z tego ostatniego choćby stwierdzenia wynika, że wbrew łatwym pozorom brak podstaw do oskarżenia Conrada o irracjonalną rusofobię. Przeżycia dzieciństwa były

¹ Z. Najder, *Życie Conrada-Korzeniowskiego*, Warszawa 1980, t. II, s. 63.

faktami, wypowiedzi pisarza stanowiły wierną myślową transpozycję innych niewątpliwych faktów. Irracjonalizmem było zamykanie oczu i mózgu na zjawiska, które się wzrokowi i myśli narzucają. A ulegano swoistej senności intelektualnej w niedalekim otoczeniu autora późniejszej *Zbrodni rozbiorów*. Edward Garnett, krytyk uważny i wnikliwy (to on praktycznie umożliwił Conradowi debiut), należał do grupy rusofilów, jeśli nie rusomanów, którzy wskutek zdumiewającej łatwowierności czy daltonizmu umysłowego nie dostrzegali spraw, które powinny by bezwzględnie skompromitować mityczny zachwyty dla wszystkiego, co pochodziło z rzekomego „tretiego Rima”. Tenże Garnett zaświadcza, że w dodatku jego znajomi, nihilści rosyjscy, o Polakach wyrażali się trochę drwiąco. Dwuznaczność postaw emigrantów rosyjskich budziła w Conradzie niechęć i oburzenie nie tylko z powodów narodowych, ale i etycznych: jak można głosić hasła wolności i powszechnego braterstwa, milczeć zaś o zakuciu w kajdany Polaków?!

Wszystkie te obserwacje, doznania, przemyślenia i wieloraka wiedza musiały pobudzić wyobraźnię nie ulegającego złudzeniom Europejczyka i skłaniać go do pisarskiego zmierzenia się z mrocznym problemem czy raczej syndromem rosyjskości. To nie przypadek, że *W oczach Zachodu* formowało się w okresie kulminacji sił twórczych autora genialnej powieści *Nostromo*, powstałej parę lat wcześniej.

Ktoś, kto ma wiele do powiedzenia, nie może uchylić się przed najtrudniejszym pytaniem: jak to powiedzieć?

Ograniczymy się do stwierdzenia, że Conrad z nieomylną intuicją wybrał sposób nieefektowny, ale, chciałoby się rzec, jedynie skuteczny. Do roli narratora przeznaczył podeszłego wiekiem nauczyciela języków, Anglika, który snuje niespieszną a wnikliwą opowieść o losach krajowców i emigrantów rosyjskich w Genewie, tworzących tam *La Petite Russie* – Małą Rosję. Fabuła opiera się w znacznej części na zapiskach pamiętnikarskich, nieraz przytaczanych, czołowej postaci książki – Razumowa. Powierzając narrację komuś, kto z natury wieku i temperamentu pozostaje skromnie na uboczu, pisarz mógł zachować epicką powściągliwość, zawieszając równocześnie liczne, choć raczej dyskretne znaki zapytania nad obrazem ludzkiego świata powstającym w psychice poddanych północnego imperium na początku naszego wieku. Przez dwa obszary akcji: Petersburg i Genewę – przesuwa się korowód zróżnicowanych postaci, od księcia, emerytowanej podpory carstwa – po marne indywiduum mordujące zarówno na zlecenie rewolucjonistów, jak i policji. Conrad rysuje sylwetki jakby od niechcienia, a przecież każda z nich osiąga sugestywną wyrazistość, a także reprezentatywność. Kilka kresek wystarczyło, by narysować portret ledwie mieszczącego się w obcisłym uniformie generała policji T., którego bez reszty określają pozbawiona sentymentu bezwzględność i nie uznająca wyjątków podejrzliwość. Jemu nie dość ohydneho donosu, on jeszcze wietrzy możliwą przedtem *niebłagonadiożność* donosiciela, co prawda niezwyčajnego. Oto inny wysoki funkcjonariusz policji, Mikulin, ktoś w rodzaju rządowego intelektualisty, delikatność manier

łączy z wyspekulowaną niezłomnością służby despotyzmowi – niczym prekursor co poniektórych głosicieli tak zwanej konieczności dziejowej... Wzmiankowany książę K. to z kolei medium donosu i filar „ładu” policyjnego. A z drugiej strony przeciwnicy więziennej tyranii: anarchiści rzucający bomby, emigranci-spiskowcy i niespiskowcy, zbiegły z zesłania rewolucjonista na uchodźstwie i inni z różnych planów lub z tła. Piotr Iwanowicz, który zdobył rozgłos literackimi rewelacjami o brawurowej ucieczce w kajdanach, jest kimś w rodzaju patrona spiskowych. Czy jednak w nim odbija się przeszłość Rosji? W człowieku, który wszystko weksluje na tor entuzjastycznego feminizmu? Madame de S., protektorka spiskowców, rezydująca w zasnutej pajęczyną siedzibie wśród mrocznego parku, zdaje się kierować bardziej osobistą chęcią odwetu na dworze petersburskim niż ideowymi motywami... Ze spiskowców najskuteczniej broni się przed sarkastyczną charakterystyką Sofia Antonowa, która impuls do działań politycznych na emigracji otrzymała w sferze osobistych uniesień odległej młodości. Tuż obok jednak widzimy kreaturę najemnego zbira Nikity, gotowego do krwawych usług – o czym rewolucjoniści długo nie wiedzą – dla obu stron. Bardzo znamienna jest epizodyczna, jak wiele w tej powieści, postać Kostii. Syn szlachecki, utracjusz, swój sprzeciw wobec rzeczywistości i swoją przeciętność topi w alkoholu, a poczucie winy wypowiada w jakże charakterystycznych dla tej formacji kulturowej samooskarżeniach, by posunąć się do kradzieży ojcu pieniędzy, które wręczy Razumowowi w przekonaniu, iż wspiera rewolucję!

Trudno we fragmentarycznie tu przytoczonej prezentacji krajowców i uchodźców doszukać się choćby cienia nadziei, zwłaszcza że najlepsi ulegają swoistej mistyce narodu. Oto Natalia Haldin, siostra wydanego przez Razumowa zamachowca Wiktora, dziewczyna urocza i wrażliwa, również na owo osobliwe poczucie szczególnego posłannictwa Rosji i okazuje niewątpliwą „pogardę dla wszystkich praktycznych form wolności politycznej znanych zachodniemu światu”. I Natalia jest przekonana, chyba jak przytłaczająca większość jej rodaków, że Zachód Rosji „nie rozumie”. Najłatwiej byłoby się zachnąć na banalność tego odczucia, gdyby nie zawierało ono jednak części prawdy, innej niż ta, w imię której Rosjanka robi zarzuty Europie. Czymże bowiem tłumaczyć owe eksplozje rusofilstwa, jak nie specyficzną dezorientacją i organiczną niemożnością objęcia przez niektóre środowiska zachodnich intelektualistów rosyjskiego fenomenu. Rzecz w tym, że Natalia i jej rodacy zakładają, czasem zapewne bezwiednie, iż to, czego się nie rozumie, z natury rzeczy znajduje się na piedestale mistycznym et cetera. Wy nas nie rozumiecie, bo my jesteśmy tu oto, wysoko, dokąd nie sięgają wasze kalkulacyjne mózgi!... Nic dziwnego, że z ust Natalii padną takie sformułowania: „My, Rosjanie, znajdujemy jakąś lepszą formę narodowej wolności – lepszą od sztucznego konfliktu partii, który jest złem, bo jest konfliktem, a zasługuje na pogardę, dlatego, że jest sztuczny. Nam, Rosjanom, sądzone jest odkryć lepszą drogę” (s. 67). To są słowa siostry buntowszczyka. Tymczasem od setek, a ze szczególnym nasileniem od dziesiątków lat przed powieściowym dialogiem ideę „lepszej drogi” uzasadniali wymownie zwolennicy

właśnie... Romanowów i ich metod. Przypomnijmy nazwiska – bagatela! – Puszkina, Tiutczewa, Gogola, Dostojewskiego... W konkluzji sceny, w której zabrzmiał przytoczony fragment rozmowy, narrator puentuje: „Cień autokracji, nie dostrzeżony jeszcze przeze mnie, padł już był na Boulevards Philosophes w wolnej, niepodległej i demokratycznej Genewie, gdzie znajduje się dzielnica zwana «La Petite Russie». Ile razy zejdzie się dwóch Rosjan, cień autokracji jest z nimi – zabarwiając ich myśli, ich poglądy, ich najskrytsze uczucia, ich życie prywatne, ich publiczne wypowiedzi, wnikając nawet w tajemnicę ich milczeń” (s. 68).

Widmo samodzierżawia tropi Conrad ze spokojną uwagą. Oto kołacze ono w czaszce Razumowa krótko przed decyzją wydania przezeń Haldina-zamachowca: przybiera formę myśli, że przeznaczenie (też słowo-klucz do psychiki rosyjskiej) potrzebuje „nie skłóconych dążeń ludu, lecz woli – silnej i jednej: nie bełkotu rozlicznych głosów, lecz człowieka – silnego i jednego!” (s. 25). I dalej: „Oczywiście nie był wcale zmurszałym reakcjonistą. Nie wszystko przedstawiało się najlepiej. Despotyczna biurokracja... nadużycia.... zepsucie.... i tak dalej. Potrzeba było zdolnych ludzi. Świątłych umysłów. Oddanych serc. Ale władzę absolutną należy zachować – narzędzie gotowe dla odpowiedniego człowieka – wielkiego autokraty przyszłości. Razumow wierzył w niego. Logika dziejów czyniła go niezbędnym” (s. 24). Otóż różni Razumowowie nie mogli wiedzieć – a jakby przeculi! – że oczekiwany przez nich – i przez ich przeciwników! – „autokrata przyszłości” właśnie wyrósł w dalekich rejonach Kaukazu, był nawet

ich rówieśnikiem... A tymczasem: „Ach, bata, bata! Twardej ręki – myślał Razumow i łaknął władzy, by zadawać ból i niszczyć” (s. 22). Ostatecznie bowiem do tego ostatniego sprowadza się wszelka, choćby najbardziej „antyreakcyjna” w deklaracjach władza jednostki lub zamkniętej grupy. Piotr Iwanowicz, były katorżnik, emigracyjny autorytet o cechach autokraty w ogóle nie zauważa niehumanitarnych warunków, w jakich każe pracować swojej sekretarce – aż do jej ucieczki od tego, który kiedyś sam uciekał, włokąc kajdany. Tylko piękąca ironia czy również dyskretna aluzja do rzekomego przeznaczenia?

Zapewne ograniczoność władców pochodzi z zaszczepienia władzą. Ale to truizm psychologiczny, który nie wystarcza do wyjaśnienia dewiacji tyrana. Tu już zaczyna wchodzić w grę mistyka władzy, dystansując jej psychologię. Oto minister imperium P., późniejszy cel skutecznego zamachu, nawet Boga wyobraża nie jako najwyższą Miłość, lecz jako pierwszego Autokratę... Nic dziwnego, że w umyśle supernadzorcy policyjnego ta jakoby najistotniejsza cecha Stwórcy wyklucza nieodwołalnie jakikolwiek zamysł wolności...

Stronica po stronicy powieść odsłania kolejne oblicza samowładztwa. Nie może więc zabraknąć i tego: „Pożera ona [autokracja – M.D.] również swoich przyjaciół i sługi” (s. 185). Zgodnie z tą żelazną regułą intelektualizujący sybaryta Mikulin, u szczytu kariery zwierzchnik tajnej policji śledzącej rodaków w Europie, pewnego dnia wpadnie w tryby maszyny, którą sam obsługiwał.

„Niemal wzniosła pogarda dla prawdy, będąca organiczną cechą rosyjskiego urzędnika”, domaga się widocznie ofiary w samym podmiocie tej pogardy... Obrazy i myśli wokół nich osnute tworzą szkic panoramy zbiorowości narodowej (bo chyba nie społeczności) rządzonej przez „despotyzm w mistycznej szacie, poczęty z niewolnictwa tatarskiego podboju” (s. 88). Nie zabraknie więc w tej panoramie sceny z zapitym do nieprzytomności człowiekiem z ludu (co zresztą ma najtragiczniejsze następstwa), jest tu wspomnienie o więzionym i zakatowanym przez policję drukarzu, który ośmielił się składać broszurę antyalkoholową, gdzie indziej czytelnik może się przyjrzeć wstrząsającej degrengoladzie moralnej duchownych prawosławnych, podporządkowanych władzy i zobowiązanych do donosicielstwa. Conrad nie mógł też nie zamyślić się nad mitologią „prostej duszy” rosyjskiej. W pewnej zaś rozmowie, która też tej mitologii dotyczy, pada skądinąd celna uwaga: „...my, Rosjanie, z reguły jesteśmy zbyt gadatliwi [...]. Natomiast jako naród – jesteśmy niemi” (s. 139). W innym miejscu ktoś dorzuca wymowną kreskę do charakterystyki władzy, wskazując na jedną z jej zabójczych broni: potwarz. Ta sama osoba lapidarnie i trafnie przedstawia położenie swego kraju: „Praworządność ani żadne instytucje nie istnieją. Są tylko arbitralne nakazy. Jest garść okrutnych – może zaślepionych – urzędników, przeciw całemu narodowi” (s. 83). Swoistą wymowę ma fakt, że słowa te pochodzą od Natalii, z taką niechęcią wyrażającej się o zachodnich formach wolności i marzącej o wyższości Rosji, tego kraju, w którym na przykład „podstawę podejrzewania stanowiło jakieś niebaczone słowo,

które się [...] wymknęło publicznie, czy też jakaś rozmowa, podsłuchana w [...] salonie” (s. 99). Tego kraju, „gdzie przekonania bywają przestępstwem karalnym śmiercią [...]” (s. 8).

Portrety osób, sytuacje, rozmowy, powtarzające się motywy, na przykład donosu, nieprawomyślności i tak dalej, uzupełniane są przez Conrada wkładaną w usta narratora refleksją uogólniającą i scalającą. Całość tworzy swoistą ciemną pełnię, wolną jednak od zamysłu pamphleciisty, surowo poważną i wiernie realistyczną. Każde zaś syntetyczne ujęcie wzbogaca wiedzę czytelnika bądź stanowi impuls dla pamięci i wiedzy wcześniejszej. Tak jest na przykład, gdy poszukiwanie formuły-konkluzji zamyka słowo: cynizm. Pisze autor: „Bo to jest znamię zarówno rosyjskiej autokracji, jak i rosyjskiego buntu. W swej pysze liczb, w swych dziwacznych pretensjach do świętości i w tajemnej gotowości do poniżenia się w cierpieniu, duch Rosji jest duchem cynizmu. Duch cynizmu wypełnia do tego stopnia oświadczenia rosyjskich mężów stanu, teorie rewolucjonistów i mistyczne przepowiednie proroków, że wolność wygląda tam na pewną formę rozpusty, a nawet same cnoty chrześcijańskie wydają się nieobyčajne...” (s. 43). Okrutne słowa? Ależ one nie kreują rzeczywistości, one ją odzwierciedlają! Nie mogą być inne, bo by kłamały. Tę prawdę potwierdzają dziesiątki milionów grobów bądź brak tych grobów w wiecznej zmarzlinie. Ale wróćmy do powieści: w pewnym momencie narrator uświadamia sobie, „że prawdziwy dramat despotyzmu bynajmniej nie rozgrywa się na

wielkiej widowni politycznej” (s. 20). Ten prawdziwy dramat to milczący straszny ból pojedynczego człowieka, to śmierć idąca w ślad za cierpieniem. „Miałem pewność, że ta matka (pani Haldin) na przekór wszystkiemu nie zgodziła się w głębi serca na utratę syna. Było to więcej niż niepokieszona żalność Racheli, coś głębszego i trudniej dostępnego w swym przerażającym spokoju” (s. 204).

Jeden z tych przejmujących, choć inaczej, dramatów to los czołowej postaci utworu, Razumowa. Zło, które sprawił ten człowiek, miało wręcz demoniczne wymiary A jednak trudno się nie cofnąć przed wydaniem na niego najwyższego wyroku potępienia.

Razumowa uformowała wielka samotność, nie znał matki i ciepła rodzinnego otoczenia, nie wiedział, kto jest jego ojcem do momentu, gdy już było w jego młodym życiu po wszystkim. Ten nieprawy syn księcia K. jako student uniwersytetu petersburskiego odznaczał się zdolnościami i ambicją. Miał u kolegów autorytet i budził zaufanie. Swój program życiowy oparł na stabilności systemu, którego słabość wprawdzie dostrzegał, ale na którego sile chciał budować. I oto nagle w sen o srebrnym medalu niespodziewanie wtargnął burzyciel dotychczasowego ładu: zamachowiec na ministra P., znajomy z uniwersytetu, Kiryło Sidorowicz. Razumow nie podzielał iluzji rewolucjonistów, ale jego wyniosła trzeźwość równie daleka była od policyjnej skwapliwości. Młodzieniec podjął decyzję: zwierzył się księciu K., którego znał jako swego dalekiego protektora.

Pascal zauważa gdzieś, iż każdy goni swego zająca. Zającem Razumowa było wyróżnienie na zakończenie studiów filozoficznych ministerialnym medalem. Drogę tej pascalowskiej pogoni przegrodziła bariera. Razumow chciał ją najpierw ominąć (dyskretnie wyprawić z mieszkania intruza), a gdy się nie udało, zmiażdżył przeszkodę. Ale po zniszczeniu bariery okazało się, że próżno szukać zająca! Za to pozostał odruch: miażdżyć! Razumow, nieposądzany przez przyjaciół straconego o haniebną rolę, z zimną bezwzględnością będzie miażdżył: pogardą tych, którzy mu zaufali, cynicznym triumfem perfidii wszystkich wokół. Cały zawód, cała klęska, cała nienawiść znalazły swe ujście. Razumow, już agent tajnej policji na Szwajcarię, prowadzi swoją sardonijną, okrutną grę. Ale oto między nim a siostrą straconego zamachowca zaczyna się dziać coś dotąd nieznanego człowiekowi wydrążonemu. Nie zmienia to jego poglądów – on się nie nawraca ani na rewolucję, ani na moralność. Ale zmienia jego samego. Nienawistny Razumow zostaje, chciałoby się powiedzieć, twórczo rażony przez niedoświadczane nigdy dotąd uczucie. Nienawiść i pogarda tracą moc. Miłość obala straszne kłamstwo. Charakterystyczne, że przełom dokonuje się na poziomie uniwersalności. Nie ma już znaczenia to, że Razumow jest Rosjaninem, że Natalia jest Rosjanką. Upadek zdarzył się w despotycznym piekle Rosji, podźwignięcie się nastąpiło w uniwersum.

Przemiana bohatera nie jest jednak happy endem, sentymentalnym zwieńczeniem mrocznego losu. Nic łatwego i prostego w tej tragicznej Conradowskiej kreacji! Nie mamy do czynienia z Szawłem obalonym przez światło

miłości. Uczucie, niespodziewanie wynikłe, jest tylko katalizatorem wielkiej przemiany. Razumow nie tyle ulega miłości, ile zużytkowuje ją czy też jej impuls, by ocalić własną integralność, a to znaczy wolność. Wolność od rozdarcia. O ile dotąd Razumow był sobą i grał rolę, gdyż rola nie sprzeciwiała się jego poczuciu niezależności (jak gdyby projekcja quasi-schizofrenii na zewnątrz), o tyle teraz podtrzymywanie roli rozbiłoby „bycie sobą”, rzutowałoby sytuację schizofreniczną w głąb jaźni, doprowadziłoby do schizofrenii tout court. W tym rozdarciu siebie na kochającego i zdradzającego równocześnie Razumow dostrzegł zagrożenie istotne, kasację niezależności. Oto, co ostatecznie pchnęło tego człowieka do „spowiedzi”. Więc jednak nie: „pokonany przez miłość”, ale: „powołany do bycia wolnym za przyczyną miłości”.

Jest w tym skojarzeniu nie tylko kunszt pisarski, ale i mądrość. Mądrość okrutna, bo zauważmy, że wprowadzając w dramat ludzki wartości uniwersalne i pokazując ich ocalającą rolę, pisarz oszczędził złudzeń. Wszak tylko iluzją byłaby obecność szczęścia.

W powieści prawie wszyscy ponoszą klęskę. W pewnym sensie bohater główny także – ale tak tylko zdaje się, gdy mierzyć zwycięstwo zgodnością punktu dojścia rzeczywistego z zamierzonym czy przynajmniej chcianym. Życiowy plan Razumowa, oparty na konstrukcji racjonalnej (stąd to nazwisko znaczące: rozum – rozum), załamał się, lecz ocalone zostało coś ważniejszego, co stanowi o „jakości duszy”.

Kończąc skrótowe uwagi o tej postaci, nie sposób nie wspomnieć tego, co stale towarzyszyło myśli Conrada o człowieku: przeświadczenia zarówno o niemożności pełnego poznania ciemnych głębi ludzkiego fenomenu, jak i o niesprawiedliwości wszelkiego kategoriowego o nim sądu. Sam pisarz, straszliwie skrzywdzony pochopnymi etykietami (rzekome zaprzaństwo!), w całym swym piarstwie był przenikliwym moralistą ostrzegającym przed łatwym i z reguły prymitywnym oskarżeniem, zakwalifikowaniem, oceną. Conrad dał szansę nawet człowiekowi z „niżu moralnego”. Nawet haniebnemu denuncjatorowi i cynikowi – i tę szansę przekonywająco artystycznie uzasadnił.

W refleksji sumującej nie sposób uchylić się od odpowiedzi na pytanie, czy Conrad w charakterystyce Rosjan nie ograniczył się do odwzorowania jednej strony medalu. Rzecz w tym, że druga strona wprawdzie istniała, lecz była prawie gładka, niezapisana, zaledwie na małym ułamku powierzchni pokryta mniej lub bardziej wyraźnymi znakami! Czy Conrad miał prawo jej nie dojrzeć? Odpowiedzmy pytaniem: czyżby nie przysługiwało mu prawo wyboru? Pisarz wybrał to, co było istotnie reprezentatywne i oczywiście niebezpieczne – jak bardzo, historia wykazała – dla Europy. Optyka niektórych środowisk zachodnich, infantylnie rusofilskich, została przekonywająco zakwestionowana przez Pisarza Odpowiedzialności. Conrad – powtórzmy – nie napisał pamfletu. Niepamfletowa jest metoda narracji, niepamfletowa stylistyka powieści. Wbrew też powierzchownemu

odczytaniu mrok dzieła sztuki – także tego dzieła – nie musi być ostateczny. Książka Conrada to akt prawdy. Akt prawdy zaś jest aktem nadziei.

Wyrażając uznanie dla Wydawnictwa Łódzkiego za wznowienie powieści, opatrzonej ciekawym posłowiem Jana Tomkowskiego, trudno nie zapytać: dlaczego tak nieopatrnie zagubiono dedykację i motto, a także przedmowę autora? Dedykacja, zachowana w wydaniu PIW-u z 1974 roku, brzmi: „Agnes Tobin, która przyniosła do naszych drzwi dar przyjaźni z najdalszych brzegów Zachodu”. Motto zaś: „Wolność przyjąłabym z każdej ręki, jak człowiek głodny chwyta kawałek chleba. Natalia Haldin”. Przedmowy autorskiej nie zamieszczono także w edycji Dzieł, Wydawnictwo Łódzkie powtarza ten brak. Godne to ubolewania, także dlatego, że tak sprzeczne z Conradowskim maksymalizmem poszukiwania prawdy.

Lech Dymarski, czyli między Barańczakiem a Krynickim

Jerzy Jastrząb

Lech Dymarski, *za zgodą autora*, Witryna Literatów i Krytyków, Poznań 1979, ss. 95; *Wiersze sprzed i po*, Biblioteka Literacka Wydawnictwa „Myśl” 1984, ss. 24.

Lech Dymarski. Poeta bardziej znany z nazwiska – niż z wierszy. Przez Waśkiewicza, jednego z konstruktorów i manipulatorów „nowych roczników”, zaliczany do formacji ponowofalowej „bezwolnie przejmującej struktury poetyckie” poprzedników; przez Stanisława Barańczaka traktowany jak młodszy partner „pokolenia ’68”. Dymarskiego i Pawlaka można spotkać w obcojęzycznych antologiach razem z autorami Nowej Fali.

Kiedy pominiemy arkusze poetyckie, to pierwszą ważną książką Dymarskiego będzie tom *Za zgodą autora* (1979). Najwcześniejszą pojawiająca się w niej datą jest rok 1970;

najpóźniejszą – rok 1979. Zawiera się między nimi prawie cała „epoka Gierkowska”; owe „dziwne lata siedemdziesiąte”. Jednak bezwzględna większość wierszy powstała w drugiej połowie lat 70., w okresie krachu dyletanckich nadziei na „drugą Polskę”. Jest więc jakby poetycką „Fotografią” w języku tamtych lat, swoistym dokumentem przerostu fikcji nad rzeczywistością; dokumentem walki z absurdalnym zakłamaniem. Są też te wiersze uzupełnieniem rozpoznawczych artystycznych „starszych braci” o elementy „ironii katastroficznej”.

Bo ironia właśnie jest fundamentem tej poezji, a dominującą postawą podmiotu lirycznego wobec świata i języka – postawa ironiczna. Skupiając się tymczasem tylko na niej, można powiedzieć, że Dymarski w większości wierszy – drwi z milionów. I robi to wielokrotnie w sposób zaskakująco celny, posługując się przy tym szeroką skalą użycia ironii: od jakby jeszcze współczującej, przewrotnie rozumiejącej (*Fragment listu znaleziony w popielniczce*), poprzez kpinę i sarkazm (*Nasze lokomotywy są coraz lepsze*), po tragigroteskę i absurd (*Koniec*) przemieniające się w apokalipsę (*Pali się szarość*).

Owe miliony, których świadomość poeta bezwzględnie obnaża, to nieprzebrana rzesza funkcjonariuszy; to nowa inteligencja peerelowska jak grzyb-garb rozrastająca się na plecach zniewolonej masy pracowniczej. Tak wyglądałby zbiorowy portret jednego z bohaterów lirycznych debiutu. Drugim bohaterem, będącym w gruncie rzeczy innym obrazem pierwszego, jest język nowej klasy. I chy-

ba nie pomylę się, jeśli powiem, że omawiana książka daje, gdy ją potraktować jako figurę *pars pro toto*, syntetyczny konterfekt urzędowo-gazetowej polszczyzny minionej epoki.

Odwołując się do mistrzów Dymarskiego, można powiedzieć, że od Barańczaka (*Za zgodą autora*) nauczył się on podejrzliwości wobec języka; Krynicki natomiast w *Wierszach sprzed i po* pomógł mu dostrzec składnik nowej rzeczywistości: nicość realną jak śmierć.

Przywoływać trzeba tu także formułę „mówienia wprost” i jednocześnie wyjaśnić, że posługując się nią, Dymarski wcale nie mówi bezpośrednio i naiwnie. Można zaryzykować sformułowanie, że jak dałaiści z kapelusza – autor omawianej książki „wyjmuje” słowo i zdania ze śmietnika świadomości poddawanej presji mass mediów. Ale nie zapisuje ich autentycznie. Wykorzystując surrealistyczną wyobraźnię, technikę zestawień, przerzutnie, elipsę, rozbijanie związków frazeologicznych i inwersję – uruchamia słowa i zdania tak, by łącząc się w sposób dla nowomowy niejako „naturalny” – a jednocześnie wydrwiony – ujawniały jej nienaturalność i fałsz. Dzięki temu między innymi obecna jest w tej poezji metafizyka destrukcji i nuta nadrealistycznej niesamowitości.

Świat przedstawiony bowiem kreowany w *Za zgodą autora* jest dla tego, kto nie wyparł się prawdy – światem przemocy: przestrzenią narastającej apokalipsy. Rządzi nim tajna policja, bezwzględna ideologia i absurdalna głupota.

Osoba myśląca krytycznie, broniąca wartości etycznych jest więc obca i izolowana. „Kto nie jest z nami – jest przeciwko nam”. Parafrazując te formułę, można powiedzieć, że kto nie jest z Państwem, przeciwko temu jest Państwo. Ono jest wyrokiem, który jest wszędzie. Ludzi i świat w abstrakcję przerobi. Jak w kończącym tom poemacie *Kantata totalna*, który jest przewrotnym szyderstwem z totalitarnej utopii ideologów „świeatlanej przyszłości, w której nie bodzie nic oprócz niej”:

Nie nie nadejdzie nic i nic wstanie
Nocy nie będzie a policjant oka nie zmrzy
zabije myśl i serce zapłonie Nie ustanie czyn
I nawet przejściowych zachmurzeń Nie będzie nocy

I stała się Noc. Noc, którą zapowiadało tak wielu poetów. 13 grudnia 1981 roku rozpoczął się nowy rozdział w historii narodu i literatury polskiej. „Zmieniła się skóra świata”. Zmieniło się myślenie (uległo gwałtownej radykalizacji) i zmienił się język (odrzucono walkę z fasadą i nowomową jako już mało istotne i jako kolejną pułapkę). Zmiana ta po raz kolejny zaskoczyła i zrewoltowała literaturę. Okazało się, że „fasada i tyły” to nie była cała prawda o naszej rzeczywistości. Pomiedzy nimi było coś jeszcze. To „coś” przybrało, osławionej nocy, realny kształt żelaza. Nicość, w momencie najradykalniejszego w powojennej historii zagrożenia jej panowania – założyła bagnety. Zza maskujących fasad wyjechały czołgi. Zmieniona skóra świata nosi na sobie ślady gąsienic i od-tąd wszyscy żyjemy w cieniu luf:

Historia za oknem
przetoczyła się na kołach gąsienicowych.
Niektórzy załamali się,
Inni padali wyprostowani.
Strumień z armatki wodnej
zmiata spóźnionych przechodniów
ostatnie ślady przeszłości.
Krew wsiąka w asfalt.
(**Historia za oknem*)

Powyższy fragment wiersza pochodzi z najnowszego tomiku Dymarskiego *Wiersze sprzed i po*. Sprzed „inwazji” Jaruzelskiego i po niej. I tak jak rzeczywistość lat 80. różni się od tej z lat 70., tak ostatnia książka poetycka Dymarskiego różni się od pierwszej.

Kiedy debiut prezentował raczej wiersze „mówione”, podporządkowane retoryce ironii (warto zwrócić uwagę na obecny imperatyw aktorskiego gestu i masowej widowni), uwikłane (jak spora część twórczości Barańczaka) w walkę z fasadą i mistyfikacją, tak *Wiersze sprzed i po*, przynajmniej w najlepszej swojej części, odchodzą od języka perswazyjnego nadmiaru w stronę poetyki konceptu i koncentrują się na definiowaniu sedna, zbrodniczego zła:

Idziemy.
Hełmy, dachy ciężarówek, pokrywy pancernych aut,
wszystko
na jednego? Więc wszystko na nic?
Papierosy, mydło, papier listowy? Wszystko?

Tak, wszystko.

Idziemy.

To nic,

nic mnie zabiera.

(Zabierać się ze wszystkim)

Przywołany cytat w pierwszej swej części jest odwołaniem do wiersza Barańczaka *Jeżeli porcelana to tylko taka* z tomu *Tryptyk z betonu, zmęczenia i śniegu*, natomiast puenta (trzy ostatnie wersy) jest prawie cytatem z Krynickiego. I właśnie dlatego, że spotykają się w nim w wewnątrzpoetyckim dialogu dwie dykcje (Barańczaka i Krynickiego), wiersz ten jest charakterystyczny dla całego tomiku, w którym współlistnieją: retoryka nadmiaru i poetyka ascezy; echa debiutu i poszukiwanie nowego języka. W tym punkcie rzecz dotyczy nie tylko Dymarskiego; jest to sprawa natury ogólniejszej.

Otóż, po 13 grudnia, poezja stanęła wobec problemu formy, która uniosłaby brzemień niezwykle bolesnego doświadczenia; zaczęła intensywniej niż kiedykolwiek poszukiwać języka, który by na nowo oddzielił fałsz od prawdy, dobro od zła, światło od ciemności. Od ciemności Systemu. Pomijając odwołania (w pierwszych miesiącach wojny) do tradycji liryki tyrtejskiej i „folkloru wojennego”, a skupiając się na najlepszych tematach stanu wojennego, spostrzeżemy, że ocalającą tradycją dla nowych-tych-samych problemów jest linia Herberta (tu np. wielka jego książka *Raport z oblężonego miasta*, 1983) i głos Krynic-

kiego (*Nasze życie rośnie*, 1978 oraz *Niewiele więcej i nowe wiersze*, 1984), który z niezwykłą konsekwencją i najradzykalniej (na poziomie poetyki) opowiedział się po stronie fundamentalnych dla naszej kultury wartości: prawdy, wolności, sprawiedliwości, miłości chrześcijańskiej i dobra (*Jeżeli w jakimś kraju*, 1983).

W pogrudniowych, młodopoetyckich oczekiwaniach nastąpił nawrót do wyrafinowanej prostoty połączonej z przenikliwością intelektualną, której światłem jest etyka. Jak w ewangelicznym apelu: „Bądźcie czyści jak gołębie i przebiegli jak węże”. I Dymarski zaczął się wycofywać spod wpływów autora *Ja wiem, że to niesłuszne* (1977), na pozycje „późnego” Krynickiego, co widać w wierszu *Krzyki, szepty*:

Jesteście lepsi,
pszenica to wy!
– dochodziły krzyki zza muru.
Odpowiadano (szepem,
żeby nie drażnić psów):
Śmierci, nie wierz nam jeszcze,
odłóż żniwo,

aż będziemy wolni.

Innym bardzo dobrym wierszem jest otwierający tomik *Krótki kurs*, w którym powraca dawno poczynione rozpoznanie Aleksandra Wata, że żyjemy w systemie, który mógł wymyślić tylko szatan.

Na początku był rozkaz
i nastały realia. Kiedy zapanowały realia,
przyszły określone uwarunkowania. One zrodziły
niezbywalne racje i twarde wymagania,
Rzekł szatan: to jest dobre.

Kiedy wszystko uspokoiło się,
zgasły wulkany i emocje,
a ziemia osiągnęła temperaturę pokojową,
nastały ład i porządek, a z nich
państwo się stało.

Utwór ten powinien poeta dedykować 40-leciu PRL, gdyż jest on w swym bezwzględny sarkazmie najkrótszą historią tego ustroju. Podobnym tekstem (proza poetycka), gdzie uchwycone zostały i wydrwione mechanizmy władzy jako nieodpowiedzialności, jest *Oświadczenie*. Bardzo dobrymi wierszami, w których pokazał Dymarski (dzięki zastosowaniu liryki roli i talentowi „podsluchiwania” cudzej mowy) skutki wyjałowienia duchowego i spustoszenia moralnego u funkcjonariuszy Systemu – są: *Mówię, jak jest* i *Zostawcie go mi*. Dodajmy tu jeszcze proroczą *Małą stalinizację*, którą właśnie przeżywamy; wypełnioną gorzką ironią i duchem jakby z *Myśli nieuczesanych* Leca *Katastrofę*, polemizującą z Kornhausserem (i w tej polemice zwycięską) *Prawdę*. Byłyby to teksty, spośród 22 wierszy najnowszego tomiku, które mi się podobają, i przykłady poetyki, gdzie Dymarski sprawdza się jako interesujący poeta i przenikliwy obserwator współczesności.

Do utworów słabszych, czy też nieudanych, należą (moim zdaniem) *Oskarżenie*, *Tryptyk ugodowy*, *O psie*, *drucie kolczastym...*, *Wątpiący*. Obniża ich wartość artystyczną, z jednej strony, rezygnacja z ironicznego dystansu, który jest atutem tego poety (*Oskarżenie*), z drugiej strony – odwołanie się do wyeksploatowanego (przynajmniej na terenie poezji) i już konwencjonalnego tematu kolejki (*Wątpiący*).

Dymarski ironiczny, podkreślmy to raz jeszcze, złośliwy, kpiący, prześmiewczy, bezwzględny w dochodzeniu do prawdy, a jednocześnie zdyscyplinowany i konceptualny, dążący do formuły zwięzłej i zwartej, odpowiada nowym nastawieniom lekturowym czytelnika, który razem z nim przeżył niezwykle w swej polskiej zwykłości – „tąpnięcie historii”:

Płomyk drgnął.

A to Polska Gaśnie? Nie – zwykłe tąpnięcie historii. Który to raz noc zapadła się nad nami? [...] (*Oskarżenie*)

I który w ostatecznym rozrachunku stawia nie na twórcę *Za zgodą autora* (nieaktualna już walka z językową fasadą), lecz na autora *Wierszy sprzed i po*.

O zwyczajach

Lucjusz Anneusz Seneka

I

Każdy błąd wynika z działania. Każde zatem działanie, tak dobre, jak i złe, jest czynem dobrowolnym: każdy więc błąd jest także dobrowolny. Stąd twierdzenie – nikt nie może błędzić wbrew swej woli.

II

Nauka i surowe wychowanie kształtują obyczaje, a każdy myśli i żyje tak, jak został nauczony. Przeto dobrze jest umieć odrzucić to, co niezawodnie wiedzie ku złu. (Tylko taki człowiek może zostać dobrym nauczycielem retoryki, który równocześnie będzie uczył dobrze postępować).

III

Nie trzeba starać się zrozumieć, dlaczego w działaniu popęła się wiele błędów, ponieważ czyny świadczą o tym, czego umysł nie jest w stanie pojąć.

IV

Wielka to zasługa starać się robić to, czego robić nie potrafisz.

V

Kto jest największym wrogiem człowieka? – Drugi człowiek.

VI

Chętnie znoś to, co konieczne. Tylko cierpliwość może zwyciężyć ból.

VII

Staraj się, aby osiągnąć to, z czego zawsze będziesz zadowolony.

VIII

Bacz na to, jakim ludziom się podobasz – nie ilu.

IX

Dobrze byłoby, abyś starał się chętniej słuchać niż mówić.

X

Niespodziewana śmierć przecina życie wielu ludziom, przeto każdy dzień traktuj jako ostatni.

XI

Smutku – jeśli wielki – nie dopuszczaj do siebie, jeśli mały – nie okazuj.

XII

Przyjaciela upominaj na osobności – publicznie zaś chwal go.

XIII

Słowami nie należy oceniać ludzi, lecz rzeczy.

XIV

Możesz uważać się za oratora, jeśli przekonałeś o tym, zamiast innych, siebie.

XV

Tak jak nad nieokiełznanymi niewolnikami panujesz siłą rozkazu, w ten sam sposób panuj nad swym językiem, żołądkiem i pożądlivością cielesną.

XVI

Gdy chcesz utrzymać coś w tajemnicy – nikomu nic nie mów. Gdy bowiem samemu sobie nie nakażesz milczenia, jak możesz go wymagać od innych.

XVII

Śmiesznym jest stracić swą niewinność przez nienawiść szkodzącego.

XVIII

Tylko do szkaradnej bestii można porównać chciwość starca. Czyż może być coś bardziej wstrętnego, niż u kresu życia zabiegać o powiększenie majątku?

XIX

Wszystkie dzieci rodzą się bez majątku. Czyż nie wstyd tobie, że żyjesz podłej niż w chwili narodzin?

XX

Cóż może być radośniejszego, niż mieć zaufanego przyjaciela, z którym możesz porozmawiać o wszystkim?

XXI

Zastanów się raczej nad tym, kim chciałbyś być, a nie tym, co chciałbyś mieć.

XXII

Cechą wielkich mężów jest lekceważenie przeciwności.

XXIII

Dotąd nie będziesz szczęśliwy, dopokąd będziesz zależny od innych ludzi.

XXIV

Jeśli chcesz być szczęśliwym, pamiętaj – gardzić to znaczy być wzgardzonym przez tego, kim gardzisz.

XXV

Zanim coś przyrzekniesz, zastanów się; bo gdy przyrzekniesz, musisz słowa dotrzymać.

XXVI

Staraj się tak postępować, by ludzie nie darzyli cię nienawiścią; jeśli nawet twoja niesprawiedliwość nie przysporzy ci wrogów, zapewne uczyni to zazdrość.

XXVII

Samotności szuka ten, kto chce żyć cnotliwie.

XXVIII

Cnotliwa i szlachetna dusza jest czcicielką bogów.

XXIX

Unikaj niestosownego małżeństwa.

XXX

Do rodziców będziesz się odnosił ze czcią, do krewnych z dobrocią, z zaufaniem do przyjaciół, do wszystkich zaś ludzi z szacunkiem.

XXXI

Będziesz unikał okrucieństwa i służącej mu zawziętości.

XXXII

Nie będziesz inaczej żył w samotności, a inaczej w społeczności.

XXXIII

Nie żądaj za wiele, abyś nie musiał sobie zbyt wiele odmawiać. Nie odmawiaj sobie zbyt wiele, byś nie musiał zbyt wiele pragnąć.

XXXIV

Z ludźmi będziesz żył w zgodzie; walczyć będziesz z ułomnościami.

XXXV

Cechą każdej namiętności jest to, że chciałyby się podporządkować obiektowi swego szaleństwa.

XXXVI

Popełnia błąd ten, kto chce się przypodobać wielu ludziom, a nie szlachetnym.

XXXVII

Chcesz, żeby wielu ludzi cię znało? – Najpierw dowiedz, że nie znasz nikogo.

XXXVIII

Dobrze jest nie chcieć być chwalonym, lecz jeszcze lepiej jest być godnym pochwały.

XXXIX

Umrzesz: głupio jest bać się śmierci, skoro wiesz, że wiecznie żyć nie sposób.

XL

Złą opinię mają o tobie ludzie: lecz źli. Złym bowiem ludziom nie podobają się pochwały.

XLI

Źłe ludzie mówią o tobie: dobrze bowiem mówić nie potrafią. Mówią nie o tym, na co zasługujesz, lecz o tym, do czego się przyzwyczaili.

XLII

Źłe ludzie mówią o tobie: jeśli słusznie – nie to, że mówią, staje się przykre, lecz to, że mówią prawdę. Jeśli nie mają racji – prawością swoją niezmiernie się radują. Wiadomo przecież, że pewni ludzie, jeśli by mogli, ciągle mówiliby nieprawdę.

XLIII

Wygnają cię z ojczyzny: wszędzie tam, gdzie jest dobrze, jest i ojczyzna. To zaś, dzięki czemu jest dobrze, nie w miejscu się zawiera, lecz w człowieku.

XLIV

Nic godnego podziwu nie znajdziesz we wszelkim ludzkim działaniu, jeśli nie pokonasz pychy swego umysłu.

XLV

Cóż jest największym bogactwem? – Nie pożądać bogactw.

XLVI

Dlaczego tak wiele posiada? – Bo tak mało żąda.

XLVII

Co jest najmiłsze bóstwu? – Naśladowanie bóstwa.

XLVIII

Uczciwiej, gdy wpierw oceniasz, a później kochasz, niż gdy wpierw pokochasz, a później oceniasz.

XLIX

Nawet gdy spór rozpoczął ktoś inny – ty pierwszy dąż do pojednania.

L

Zaradzić nieszczęściu przyjaciół – oto zaiste najlepsza pomoc.

LI

W chwilach szczęścia znajdziesz przyjaciół. Złe czasy pokazą, którzy z nich są prawdziwi.

LII

Gorsza jest ukryta nienawiść od jawnej. Z tego powodu lepiej jest mieć gadatliwego wroga niż milczącego.

LIII

Dziwny to człowiek, który nie chce się dzielić swymi myślami, lecz zachowuje je wyłącznie dla siebie.

LIV

Cokolwiek zrobi – już oczekuje zaszczytów.

LV

Eleemosyna bardziej sprzyja dającym niż przyjmującym.

LVI

Nadzieja na uzyskanie nagrody staje się pociechą we wszelkim trudzie.

LVII

Co jest największą wadą? – Skąpstwo.

LVIII

Nad bogactwem trzeba panować, a nie mu służyć.

LIX

Żadnego powiernika swych grzechów nie będziesz się bardziej lękał niż siebie samego; przed innym możesz uciec, przed sobą nigdy i donikąd.

LX

Kto to jest człowiek biedny? – Ten, kto się sobie taki wydaje.

LXI

Ten, którego wielu się boi, sam lęka się wielu.

LXII

Szerząc zło, pomniejszasz pomyślność.

LXIII

Najhaniebniejszym zwycięstwem jest pokonać swoich przyjaciół.

[...]

LXIX

Wystarczy ukarać – nie trzeba już się mścić.

LXX

Nie bądź skory do nienawiści, a przyjaźń okazuj rozważnie.

LXXI

Zaniechaj zawiści.

LXXII

W sposobie mówienia odnajdziesz obraz duszy.

LXXIII

Jaki człowiek – taka mowa.

LXXIV

Wielka to sztuka wiedzieć, kiedy można mówić, a kiedy milczeć.

LXXV

Kto z zimną krwią zamyśla o nieprawości, jest złym człowiekiem.

LXXVI

Nikogo pochopnie nie będziesz chwalił, nikogo pochopnie oskarżał: przemawiając publicznie, zawsze pamiętaj, że wydajesz świadectwo bogom.

LXXVII

Błędem jest zarówno wierzyć we wszystko, jak i nie wierzyć w nic.

LXXVIII

Bogactwa należy używać, lecz nie nadużywać.

LXXIX

Pamiętaj, że nie ma miejsca bez świadka!

LXXX

Wadą jest szukać za wszelką cenę usprawiedliwienia.

LXXXI

Większe zwycięstwo odnosi ten, kto zapanuje nad żądzą, niż ten, kto zwycięży wroga.

LXXXII

Najtrudniej o zwycięstwo nad samym sobą.

LXXXIII

Zły to gniew, gdy skierowany jest przeciwko bliskim.

LXXXIV

Chciej tak kochać, jakbyś nigdy nie miał przestać.

LXXXV

Jeśli nawet nie osiągnąłeś wielkich zaszczytów, to już sama chęć ich zdobycia jest zasługą.

LXXXVI

Doskonałością ducha jest szlachetność uczuć.

LXXXVII

Doskonałością ciała jest szlachetność duszy.

LXXXVIII

Godniejszy szacunku jest człowiek, którego starość zmusiła do odpoczynku, niż ten, którego starość zastaje bezczynnym.

LXXXIX

Okrutne igrzyska sprawiają radość tylko chorym umysłom.

XC

Nigdy nie smuć się ze szczęścia drugiego człowieka.

XCI

Jestem człowiekiem: jakże więc mogę uniknąć nienawiści do rzeczy przynoszących szczęście?

XCII

Jeśli będziesz pomnażał szczęście, pozyskasz sobie wiele życzliwości.

XCIII

W jaki sposób najlepiej zapanuję nad sobą? – Jeśli pokonam bezsilność.

XCIV

Przyznanie się do winy jest oznaką szlachetności. Gdzie przyznanie do winy, tam i odejście od sporu.

XCV

Surowość jest wadą.

XCVI

Powinnością dobrego sędziego jest rozważenie nie tyle, kogo należy skazać, lecz na jak długo.

XCVII

Najbliższa sprawiedliwości jest umiarkowana surowość.

XCVIII

Szczęśliwsze mogłoby stać się życie ludzi na ziemi, gdyby zechcieli zapomnieć tylko o dwóch słowach: twoje i moje.

XCIX

Kto lęka się ubóstwa, jest tchórzem.

C

Niech przyjaciele bardziej odczuwają potęgę twego dobrodziejstwa niż niesprawiedliwości.

CI/CII

Pieniądze nie zaspokajają chciwości, lecz ją pobudzają. Stąd zawsze będzie ich mało. (Pieniądze wyczują, gdyś nań łasy).

CIII

Wierz mi, nie możesz być i bogatym, i szczęśliwym.

CIV

Lepiej słuchać uważnie, niż mleć językiem.

CV

Cokolwiek chcesz powiedzieć, nim powiesz innym, sobie powiedz.

CVI

Jeśli w ciągu jednego dnia nie dojdzie do zgody pomiędzy skłóconymi, w nieprzyjaźni pozostaną na zawsze.

CVII

Bez obawy będziesz mógł korzystać z dóbr, jeżeli unikniesz tego, co uznałeś za naganne.

CVIII

Bardziej lękaj się samego siebie. Od ludzi bowiem możesz uciec – od siebie nigdy.

CIX

Jeśli chcesz innym dawać dobre rady, sam musisz dobrze postępować.

CX

Przemyślane działanie zaowocuje w przyszłości, bezmyślne trwa tylko chwilę.

CXI

Drugiego człowieka możesz lekceważyć – siebie nigdy.

CXII

Tyle posiędziesz męstwa, na ile odejdiesz od rozpusty.

CXIII

Źle, gdy ktoś znajduje upodobanie w beczynności, bo to jakby w śmierć się zagłębiać; przecież długotrwała beczynność podobna jest do śmierci.

CXIV

Kto ochrania zło, ten szkodzi dobru.

CXV

Innym złorzecząc, sami sobie obelgi rzucamy.

CXVI

Nic gorszego jak obwiniać drugiego człowieka, gdyż sam został obwiniony.

CXVII

Abyś mógł zachować panowanie nad sobą, porzuć gadatliwość, pożądanie, łakomstwo, chciwość; jeśli od razu nie możesz uwolnić się od tych namiętności, próbuj choć część z nich zwalczyć.

CXVIII

Często to, czego nie może uleczyć rozum, czas wyleczy.

CXIX

Człowiek, którego umiłowanie bogactwa i rozpusta przywiodły aż do śmierci, nigdy nie żył dla siebie.

CXX

Nie używaj przekleństw – szybko staną się nawykiem.

CXXI

Tak mieszkaaj, aby chwalono gospodarza, a nie mieszkanie.

CXXII

Kultywowanie zwyczajów jest nieszkodliwe.

CXXIII

Nie wyrok sądowy, lecz zły czyn robi z człowieka przestępcę.

CXXIV

Sprawiedliwy wyrok jest karą dla skazanego. Wyrok niesprawiedliwy jest klęską dla skazującego.

CXXV

Jeśli już coś przemyślałeś, szybko przedstaw to rozmówcom.

CXXVI

Pamiętaj, że na długo nie ukryjesz swych wad!

CXXVII

Sądy o innych zawsze wydawaj na podstawie własnych czynów.

CXXVIII

Wielu ludziom trzeba okazywać wdzięczność, choć nie-liczni na nią zasługują. Pamięć o wyświadczonych dobrodziejstwach każdemu jest miła, zaś wspomnienie krzywd – nieprzyjemne.

CXXIX

Do słów nagany zawsze dołącz coś przyjemnego. Większy skutek bowiem przynosi łagodne upomnienie. Nie jest

w stanie zmienić swego postępowania taki człowiek, który zwątpił, iż może się zmienić.

CXXX

Ile razy piszesz coś, co będziesz chciał dać ludziom do przeczytania, pamiętaj, że dajesz im opis swego charakteru.

CXXXI

Człowiekowi, który złości się i jest bezwzględny dla swych niewolników, dobrze jest pokazać siłę jego przeciwników, wtedy od swojej odstąpi.

CXXXII

Kto nie potrafi milczeć, i mówić nie potrafi.

CXXXIII

Łatwiej jest biednemu uniknąć pogardy niż bogatemu za-
wiści.

CXXXIV

Zacny człowiek korzysta chętnie z dobrych rad.

CXXXV

Od złych ludzi najbezpieczniej jest szybko odejść.

CXXXVI

Nie jest mały domek, w którym przebywa wielu przyjaciół.

CXXXVII

Dobrze jest pamiętać, że w ubóstwie kryje się największe szczęście.

CXXXVIII

Ćwiczył uwagę – pokonał bezczynność umysłu.

CXXXIX

Nigdy nie należy zwalczać zbrodni zbrodnią.

CXL

Dobrym człowiekiem jest taki, który zrozumiał nie tylko, że nie chce błędzić, lecz także i to, że nie może.

CXLI

Na większe niebezpieczeństwa narażeni są ci, którzy sprawują władzę, niż społeczeństwo. Społeczeństwo boi się tylko tych kilku, którzy rządzą, władza zaś boi się całego społeczeństwa.

CXLII

Czy człowiek odważny może się chlubić swym męstwem, które osłabiła starość i choroba? Czy majątny człowiek może chlubić się swym majątkiem, na który czyha złodziej? Czy szlachetność może się chlubić, gdy już tyle razy została zmuszona, by służyć niegodziwości?

CXLIII

Niedawno jeszcze zły duch występował jako pogromca twej dobroci, dziś już jest współnikiem twego szczęścia.

CXLIV

Należy starać się, aby usunąć i oddalić przy użyciu wszelkich dostępnych sposobów zmęczenie od ciała, nieświadomość od umysłu, zbytek od rozumu, od społeczeństwa podziały, od domu niezgodę, a od całego świata – brak zdecydowania.

CXLV

Któryś z przyjaciół powiedział, że wszystko jest wspólną własnością.

Najbardziej trzeba się troszczyć o dwa okresy życia: o ten, który mamy przeżyć, i o ten, który już przeżyliśmy. W obliczu bóstwa trzeba starać się o prawdę, która czyni ludzi bliskich bogom.

Tłumaczenie: Soter

Korespondencja i inne

List do Redakcji

Przypadkowo, po latach, przeczytałem w „Kronice Miasta Poznania” nr 4/1983, s. 83 o wręczeniu w dniu 21 lipca 1981 roku „nagród województwa poznańskiego za upowszechnianie kultury”. Wśród nagrodzonych wymienia się moje nazwisko.

Było to dawno, nie przywiązuję do tego większej wagi, ponieważ jednak czasami ktoś mnie pyta, jak było, dla porządku oświadczam:

ja tej nagrody nie przyjąłem.

Ryszard Krynicki

A ja sobie jednak pomarzę

W czasie sesji naukowej zorganizowanej niedawno w Poznaniu na stulecie Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza odczytany został między innymi ciekawy referat o literaturze i prasie emigracyjnej czeskiej i słowackiej. W dyskusji zapytałem o miejsce w publicystyce emigrantów czeskich i słowackich zagadnienia federacji polsko-czechosłowackiej, do której dążył w latach wojny gen. Sikorski, a która została storpedowana wskutek presji Związku Sowieckiego nie tylko

na emigracyjny rząd Czechosłowacji, ale i na Brytyjczyków. Referent zbył sprawę dowcipem, po czym wyjaśnił, że jest przeciw. Inny referent mimochodem wspomniał o anachroniczności – w jego przekonaniu – pomysłów federacyjnych Piłsudskiego już jakoby w momencie ich powstawania. Ktoś trzeci stwierdził, że na emigracji polskiej i czechosłowackiej sprawa federacji jest właściwie nieobecna, po prostu brak zainteresowania. A i audytorium jakby nie zanadto tą ideą się przejmowało, młodzi zaś słuchacze – miałem wrażenie – bodaj nie bardzo wiedzieli, o co tu się spierać.

Otóż jest o co. Nawet wtedy, gdy się nie zajmuje zawodowo historią czy koncepcjami politycznymi. Nie godzi się bowiem reglamentować myślenia. Arbitralne zaś wykluczenie z pola refleksji sprawy absorbującej najtęższe umysły polityczne byłoby formą takiej reglamentacji i postępkem godzącym nie tylko w kulturę polityczną, ale w kulturę w ogóle.

Rzeczony referent przyznał, że sprawa federacji ustawicznie wraca na wszelkich spotkaniach jego z publicznością. Aha, więc jednak zainteresowanie jest żywe, trwałe, nawet namiętne! Nie wszyscy rodacy przykładają endecki reduktor do mózgow... Bo warto tu wspomnieć, że antyfederacyjne fobie rozwinęły się przede wszystkim w środowiskach endeków, z tromtadracją i butą uprawiających polonolatrię i reagujących niestety groźniej niż tylko czkawką na zawikłane problemy mniejszości narodowych w II Rzeczypospolitej.

Oczywiście nie wiadomo na pewno, czy przyszłość Europy należy do federacji lub federacji. Można jednak spodziewać się, że ta idea odegra dużą rolę, zwłaszcza w Europie, jeżeli planeta będzie trwać. Ani rzekomo anachroniczne wizje Piłsudskiego, ani dalekowzroczone koncepcje Sikorskiego nie muszą wcale stracić swej mocy inspiratywnej. Co prawda myślę, że po rozpadnięciu się obecnych struktur politycznych w Europie środkowej i wschodniej na początku powstanie tendencja do tworzenia się separatystycznie nastawionych państw narodowych. Byłaby to naturalna reakcja historyczna na gangsterskie wtłaczanie w przymusowe związki. Lecz myślę także, iż po etapie nacjonalistycznej izolacji, a nawet niezgody – raczej nie będzie to pogodny okres – powstaną siły unionistyczne, na różnych planach: kulturalnym, gospodarczym, wreszcie politycznym – zabiegające o tworzenie struktur o charakterze federacyjnym, choćby bez użycia bezpośrednio na to wskazującej nazwy. Przypuszczalnie będą to federacje luźne, pełne – zwłaszcza w pierwszej fazie – zastrzeżeń obwarowujących zasadę suwerenności narodowo-państwowej. Jest bowiem dziecinny złudzeniem, że zapanuje między narodami idealna zgoda i współpraca bez oparcia na konkretnych formalnych strukturach politycznych. Byłbym pierwszy, który by z entuzjazmem przystał na zniesienie instytucji państwa i wszelkich innych implikowanych przez nie, a więc i federacji – gdyby tak zwana ludzkość znalazła się na poziomie dojrzałości gwarantującym jej wszechstronny rozwój poza wszelkimi instytucjami. Niestety, o czymś takim przez najbliższe dziesięciolecia, a pewnie i stulecia roić może

już nie tyle marzyciel, ile śniarz – tu jednak rezygnuję z polemiki z opowiadaczem snów. Natomiast zwracam uwagę, że nawet w najlepszej koniunkturze historycznej nie zanikną niebezpieczeństwa zagrażające ewentualnie uzyskanym przez Europejczyków korzyściom. Także przecież na obszarze rozpadłego więzienia narodów nie powstanie przypuszczalnie kozie pastwisko – i zresztą nie należy tego życzyć, gdyż byłoby to najpewniej wynikiem uprzedniej katastrofy nuklearnej – a w takim razie będzie tam pewna potencja i potencjalność polityczna, za której dobrosąsiedztwo nie dałbym złamanego szeląga. A gdyby nawet założyć możliwość unieszkodliwienia na jakiś czas – skutek na przykład chaosu – wschodniej potęgi, nie przestałaby istnieć zagadka dalekowschodniego rojowiska, którego stan i zachowanie się są nie do przewidzenia.

Także zatem względy bezpieczeństwa skłonią państwo nowo powstałe lub te, które odzyskają wolność, do działań wykraczających poza polityczny partykularz. Nie jest oczywiście pewne, czy wśród tych naprawdę wolnych i dobrowolnych związków i uzależnień znajdzie się jakaś forma unii polsko-słowacko-czeskiej, ale takiej możliwości wykluczyć nie można, tym bardziej nie należy z premedytacją jej zapobiegać. Byłoby wielką szkodą, gdyby wśród możliwości teoretycznych otwartych przed przyszłością tę jedną zamykać na jakikolwiek doktrynerski, na przykład integrystyczny, klucz. Ów mózgowy ślusarz, który by taki klucz na siłę dorabiał, byłby przykładem typowego Polaczka, w upojeniu zapatrzonego w sarmacki pępek.

Wydaje się co prawda, że świadomi przeciwnicy federalizmu, to znaczy endekoidzi, są znikomą mniejszością opinii. Większość to beztroskliwcy. Sądzą, że przyszłość ukształtuje się sama, bez mozołu poszukiwania rozwiązań, bez ryzyka pomyłek i ryzyka nadziei. Obawiam się, że część opiniodawczą tej grupy stanowią humaniści o „apolitycznym odchyleniu”. Wszelkie polityczne kategorie w odczuciu tychże są rzadkie z racji swej polityczności właśnie, a przecież im chodzi o to, by normalnie, swobodnie i pogodnie żyć... Niestety, apolityczny humanisto, wszelkie formy życia zbiorowego – a nie da się od nich uciec – wymagają nieefektownego nieraz trudu podjęcia problemów jakoś politycznie uwikłanych. Apolityczność jest sposobem na małą i miłą biografie, ale nie na udział – a choćby i zgrzebny, lecz twórczy – w spełnianiu historycznego dobra. Granice nie otwierają się same, choć tego by sobie życzył apolityczny humanista, pięknoduch. Granice otwierają się najłatwiej lub wręcz zanikają w obrębie wcale politycznej struktury, jaką jest federacja. Terzańniejszość praktycznie sfederowanej Europy Zachodniej potwierdza tę prawdę jednoznacznie. Cztery lata unii polsko-litewskiej też ma swoją wymowę. Dlaczego więc ignorować rzeczywistość?

Jest jeszcze jedna grupa jakby obcych federalizmowi. To na ogół młodzi ludzie, którym jeszcze nie starczyło czasu na przemyślenie samej sprawy bądź którzy dali się zasugerować wzmówieniu, jakoby blok wschodni też był jakąś wersją federacji. Otóż, młodzi omyleńcy, między obozem (łagrem) wschodnim a federacją jest akurat analogia

taka, jak między raportem karnym a towarzyską rozmową. A w ogóle, o antyfederaliści, dlaczego tak bronicie się przed marzeniem?

Marian Dźwinel

Przepraszamy

Redakcja przeprosza wydawcę „Pulsu” za niezamieszczenie w 1. numerze „Czasu Kultury” informacji o tym, że zamieszczony w nim żart Sławomira Mrożka pochodził z londyńskiego kwartalnika.